

Żelaznica

D W U T Y G O D N I K S P O Ł E C Z N O - K U L T U R A L N Y

Nr 13 Rok I

ŁÓDŹ, 1—15 LISTOPADA 1955

Cena zł 1.20

TADEUSZ PAPIER

D z i e d z i c t w o

HISTORIE sporu między Janicami i Urszulą Majówną odkryłem w czasie ostatniego mego pobytu w Zapolicach. Zjawiłem się tam prawie po dwudziestu latach nieobecności z nader smutnych powodów. Umarł zięć Janica, a mój rówieśnik i przyjaciel, Władek Kłuzniak. Miał wrzód na dwunastnicy i jakiegoś wstrętnego raka. Urszulę spotkałem właśnie na tym pogrzebie. Poznałem ją zaraz, mimo iż rozstaliśmy się, kiedy miała zaledwie osiem czy dziewięć lat. Zachowała w oczach ten sam wyraz żywej ciekawości, jak wtedy, gdy była jeszcze dzieckiem. Zapamiętałem to lekkie uniesienie brwi, kiedy się czemuś dziwiła. Nie była ładna w ujęciu potocznym. Rysy miała raczej nieregularne, twarz pociągłą, oczy duże, usta nieco za szerokie.

Ostatnie wspomnienie o niej wiązało się z wypadkami roku trzydziestego siódmego. Matka jej, stara Majowa, sprzedawała czy też wydzierżawiała — nigdy nie przyglądałem się bliżej tej transakcji — swoją gospodarke Janicowi. Potem wyjechała w lubelskie do rodziny. Byłem pewien, że Majowie na zawsze opuścili Zapolice. I nagle, ku swojemu zdziwieniu, spotkałem Urszulę na cmentarzu.

Podszedłem do niej zaraz. Zaczęłem rozmawiać i dopiero po pewnym czasie spostrzegłem, że mówi ze mną powściągliwie, z niejakim zakłopotaniem. Próbowałem to długiemu niewiedzeniu. Próbowaliśmy, o ile na to pozwalała chwila i miejsce, przekreślić tę nieufność. Ale na próżno. Twarz jej stała się coraz bardziej chłodna. Byłem dotknięty, ale mimo wszystko chciałem znaleźć dla niej jakieś usprawiedliwienie. Może uważała, że nie powinienem z nią rozmawiać tutaj, na cmentarzu? Może kłopotowała się, że zaczepiłem ją wobec tylu świadków nie dbając o żalobną uroczystość? Wreszcie — czy pamiętała mnie na tyle, aby nawiązać z miejsca bezpośrednią rozmowę?

Tymczasem ksiądz już odprawił swoje modły. Wszedłem do kościoła zmówiwszy się z dawnymi kolegami, że poniesiemy razem trumnę. Ustawiliśmy ją na trawie w pobliżu wykopanego dołu. Ludzie poczęli się tłoczyć dokoła. Ruchliwy i niecierpliwy dziadek kościelny Michał przepchnął naprzód dzieci Władka. „Dzieci pierwsze, dać miejsce dzieciom!” — skrzeczał komendując i przesuwał na prawo i lewo ludzi. U wejścia trumny stał Janic. Wysoki był, chudy, jak wystrugany światek, z czarnymi oczami, wpatrzonymi teraz w ciemny dół. Żółte wąsy, nie zaproszone jeszcze siwizną, opuszczone były, zwisały. Usta miał zacisnięte jak człowiek, który wstrzymuje się od okazania nadmiernego wzruszenia. Zresztą, o ile go pamiętam, zawsze był taki skryty. O innych gadał dużo, o sobie niewiele i to tylko, co chciał, żeby ludzie wiedzieli.

Młody, może czterdziestoletni proboszcz, dość zażywny, blondyn, wyszedł na przymiechu i podniósł rękę do góry. Pochwalił Boga, przeżegnał ludzi i począł głosić wysokim tenorem:

— Kiedy raz przed wojną przygotowywałem się do kazania żalobnego, a odprowadzałem na wieczny spókoj bogobojnego parafianina, rolnika, szukałem w książce, gdzie były wzory kazań, odpowiedniej przemowy na ową smutną uroczystość. Odwróciłem jedną kartkę i oto co przeczytałem: „Kazanie na Jasnie Wielmożnego hrabiego Potockiego”; otworłem ksiązkę na następnej stronie i przeczytałem: „Kazanie na hrabinę Mycielską”; znowu odwróciłem kartkę i zobaczyłem przemowę na cześć jakiegoś pułkownika, właściciela dóbr. Kartka za kartką pojawiały się nazwiska hrabiów, dziedziców, pułkowników, żon generałów. I dalej to samo, to samo, na końcu zaś, pamiętam, było nazwisko hrabiny Tarło. Zniechęcony odłożyłem ksiązkę. Nie znalazłem w niej tego, czego szukałem.

Ksiądz przerwał i potoczył wzrokiem dokoła. Ludzie wyciągali szyje, zaciekawieni do czego prowadzi ten wstęp. Nawet księża — było ich dwóch jesz-

cze — spoglądali bystro na proboszcza. Ten zaś wycękał małą chwilę, po czym ciągnął dalej akcentując wyraźnie każde słowo:

— Oto, drodzy parafianie, żegnamy dzisiaj nie hrabiego, nie pułkownika, nie dziedzica, nie tego co tytuły otrzymywał po przodkach, ale tego, co własną pracą zdobył sobie szacunek całej wsi, kość z kości, krew z krwi waszej, jak to się w dzisiejszym języku nazywa, chłopca, gospodarza!

Mówca uniósł jedną rękę w natchnieniu. Ozwął się tłumiony płacz. Kłuzniakowa jęknęła głośno. Janic szarpnął wężym ruchem takim, jakby chciał sobie sprawić ból. Obok mnie spała stara Zastawka, czerwony na twarzy, opięty szczerlinie w czarną kamizelkę i takąż marynarkę. Poczułem lekkie naciśnięcie łokciem i poszedłem za wzrokiem Zastawki. Na końcu, gdzie ludzi było najmniej, oparty o akację stał Grójczyk, z miną tak niedorzecznie surową, że aż to zwracało uwagę. Gęste, czarne brwi zsunięte były prawie w jedną linię, wydatny nos podniesiony do góry, oczy spoglądały gdzieś ponad proboszcza; doszedł mnie prawie niedosłyszalny szept Zastawki: „Sekretarz partii!”, ale o tym wiedziałem już, więc tylko skinąłem głową. Zastawka przechylił się na lewo i z kolei począł szybko, niedostrzegalnie prawie, ruszać ustami nad głową Urszuli, która stała obok, nieruchoma, wpatrzona w brązowe deski trumny.

Jeszcze parę minut mówił ksiądz o Władku. Kiedy zaś spłynął grudkę ziemi na trumnę, płacz był powszechny. Poczęto wołać: „Otworzyć trumnę, otworzyć trumnę!” Janic jednak poruszył przecząco głową, a Zastawka zaseplecił: „Nie można, ludzie kochane, widzicie, że plomby są! W Kielcach, w szpitalu zaplombowali”. Odpychał przy tym ludzi, a do mnie nachylił się i szepnął: „Doniesie kto, po co ten kłopot?”

Wiedziałem, że plomby już naruszono, że w nocy Janicowie otwarli trumnę i Zastawka był też przy tym.

Powoli wracaliśmy z cmentarza. Janic stał już przy furcie i zapraszał na stypę. Ludzie jednak się wymawiali, nie chcieli robić zbyteżnego kłopotu. Grójczyk, do którego przystąpiła sama Kłuzniakowa, podniósł ręce i wskazał na pole. Ziemiaki miał jeszcze zwozić.

Do chałupy skręcali tylko krewni i najbliżsi sąsiedzi. Znalazłem się także wśród zaproszonych. Zobaczyłem przechodzącą Urszulę, pociągnąłem ją za sobą. Dziewczyna opierała się, szła z wyraźną niechęcią, lecz nie zwracałem na to uwagi. Sądziłem, że mogę rościć sobie prawo do występowania w imieniu Władka — i tak też się zachowywałem. Nie przywiązałem zrazu większej wagi do bysku z jakim Janic spojrzął na towarzyszącą mi Urszulę.

Stypy mają jedną zaletę — pozwalają na chwilę zapomnieć o żałości. Nie próbuje się tu osieroconych przekonywać wyszukanyimi argumentami. Daremne byłoby to wysiłki. Wódka krąży dokoła stołu, ręce sięgają po kawałki chleba i kiełbasy, powoli atmosfera się ożywia, syją się anegdoty.

Rozmowa była początkowo skąpa. „Ano, zmarło mu się” — ktoś stwierdził krótko. „Przyszła na niego kolej” — dodał drugi. „Tak, ale widzicie, człowiek był młody, mógłby pożyć jeszcze”. „Czterdziestka zaledwie, co on życia użył?” „Zostawił pięcioro dzieci, prawie sam drobniak!” „Ciężko wam będzie teraz, Janic!” „Oj, pracować też nieboszczyk, pracował” — rzucił z pewną uszczypliwością Płonka, mały, chudy człowieczek, krewny z linii Władka. „Powiadają — ciągnął — że Janice zagłodzili Kłuzniaka kwaśną kaszą”. „Z głupim nikt rządu nie dojdzie” — odparła z oburzeniem Wachowa.

(Dokończenie na str. 5)

EDWARD SZUSTER

ZDARZYŁA się ta rozmowa w drugiej połowie października 1944 roku w ciasnej, ogarkiem jakimś ledwo oświetlonej chłopskiej izbie. Na chudej podściółce ze słomy spali pokotem koledzy; ja sam siedziałem na niskim stołeczku obok ciepawego jeszcze pieca i z trudem opędatem sennosć. Było już dobrze po północy a przecież niedawno ukończyliśmy uciążliwy marsz nocny, jeden z wielu nużących i bezsensownych marszów tego czasu stałego wymykania się hitlerowskiemu obławom. Wiedzieliśmy wszyscy doskonale, że z nastaniem zmierzchu znów ruszymy w drogę o ile, oczywiście, nie przyjdzie nam wcześniej brnąć po rozmokłych, niedawno zarożonych polach w tyralierze osłaniającej przed atakiem obławy ucieczkę taborów i sztabu. Sto kilometrów na wschód, nad Wisłą, tkwił od wielu tygodni front i w jego niedalekim zapleczu pętałyśmy się bezładu i składu, już od dawna grając w ciuciubabkę z przypadkiem. Jabowe były dnie, ciężki był sen, w tym czasie skrytych rozmyślań i rzadkich, pełnych szarpającej złości rozmów.

W taką to właśnie kradzioną noc wypelnioną sapaniem śpiących i mdłym zapachem wilgotnej odzieży spotkałem się niespodzianie z Kaźmierskim. Wszedł do izby tak cicho, że nie spostrzegłbym jego przybycia, gdyby nie poruszyła mnie fala zimnego powietrza ciągnąca od drzwi. Delikatnie przeszedł między śpiącymi i zbliżył się do pieca, uśmiechając się lekko na widok mego zdziwienia. Za chwilę grzebał już patykiem w palenisku przysiadłszy swoim zwyczajem na piętach, a gdy odnalazł żarzący się jeszcze węgiel, podjął z podłogi przygarbił słomy i wepchnął ją do pieca.

— No jak? Prędko ruszą? — spytał

przerywając na chwilę pieczeniowe dmuchanie w palenisko.

— Kto? — Nie wiedziałem kogo ma na myśli, a on najpierw rozniecił w piecu słomiany ogień, zapalił papierosa i dopiero potem, upuściwszy dym w palenisko, odpowiedział:

— Oni przecież. Ci zza Wisły.

Cóż można było odpowiedzieć na to pytanie, które co dnia — wbrew usiłowaniu dowódcy — zadawaliśmy sobie bez skutku. Wzruszyłem ramionami i tyle. Kaźmierski zresztą nie czekał na odpowiedź; potoczył okiem po izbie przypatrując się śpiącym jakby kogoś wśród nich szukał i znów spojrzął na mnie. Po jego sprytniej twarzy przebiegały odłaski płomienia niegdyś przelotne iskry w matych oczkach.

A u nich tam za parę dni wielkie święto, nie? — Lekkim ruchem głowy wskazał kierunek wschodni, po czym przyjrzał mi się uważnie. — No tak, rewolucję obchodzą — objaśnił domyślając się słusznie, że i tym razem go nie zrozumiałem. Mówił szeptem jakby uważał, że temat nie nadaje się do otwartego omawiania nawet wśród zmęczonych, twarzą śpiących ludzi.

Miał rację, mało się u nas o tych sprawach mówiło, a jeśli już przyszło do tego — to ukradkiem, między zaufanymi. Zdumiał mnie Kaźmierski swymi słowami, bo choć znaliśmy się dawno, nie przypuszczałem, aby właśnie on pamiętał mógł o tej rocznicy. Wydawało mi się, że ten starszy już chłopina, zawołany kłusownik i leśny złodziejaszek, kombinator i bohater wielu romansowych historii, o których mówiła cała wieś, nie interesuje się w ogóle podobnymi sprawami. Pamiętałem, że nieraz barwnie i z wyraźną domieszką samolubstwa opowiadał o swych wojennych wspomnieniach z roku 1920, że bez namystu,

niecierpliwie wciągnął się do pracy w pierwszej podziemnej organizacji z jaką się zetknął wykorzystując każdą okazję dla zademonstrowania brawury i ryzykanctwa. A przecież to on właśnie przypominał mi o rocznicy Października szeptem nie tylko poufny, ale i poważnym, pełnym napięcia.

Zdarza się czasem, że ludzie porozumiewają się bez słów, że jeden odpowiada drugiemu na niepostawione głośno pytanie. W tej dusznej i ciemnej izbie wypelnionej ciężkimi oddechami śpiących, zdarzyło się coś podobnego. Kaźmierski skłonił ku mnie swą głowę okrytą fałszowaną barankową czapką i począł szeptać rzucając od czasu do czasu bystre spojrzenia na izbę.

Takie mi się, panie, zdarzenie przytrafiło. Dawno już, dwadzieścia cztery lata nazad, ja to na tej wojnie byłem. Cofali my się wtedy, a nasza kompania szła w straż tylną. Mnie akurat popadło na samym końcu; dzieściu nas razem było. Idziemy, idziemy, a tu, naraz, zza jakiejś tam kępy, wyskakuje patrol kawalerii i na nas. Ledwo zdążyliśmy raz strzelić, a oni już blisko. Patrzą — leci na mnie taki młody. Czapka mu spadła, włosy jak konopie, czerwony na gębie z tego przejęcia. Prosto na mnie konia prowadzi i szablą nad głową wywija. Zglupiałem, panie, z tego strachu i stoję jak ten baran, bagnetem się zastawiam. A on mnie trzask! szablą po łufie, aż mi się karabin w rękę terpnął. „Ech, ty, tiomnyj czelawiek” — krzyczy. „Panów chraniś!” Zakołtowałimy się i tyle go widziałem. Uciekli — bo nam na pomoc plutonowe maszyny zaczęły grać. Potem, panie, dopiero wyrozumiałem, że mnie chyba zabić nie chciał. Zezwał tylko i już. Dziwne zdarzenie, nie?

Patrzył na mnie Kaźmierski uważnie jakby chciał sprawdzić, czy pojmuję, o co mu chodzi. Skinąłem potakująco, choć nie bardzo wiedziałem, co znaczą to wspomnienie sprzed dwudziestu przeszło lat.

— Dobry był człowiek — powiedziałem, ale Kaźmierskiemu nie o to widocznie chodziło, bo skrzywił się nieco i machnął niecierpliwie ręką.

Marian Wnuk

Lenin

Ojczyzna

Wierzba wyrosła nad strugą,
Rozkwita wiosną, lśni w wodzie.
Wesołe pieśni śpiewamy,
Idąc do pracy o wschodzie.

Olcha wyrosła nad rzeką
Obmyta w świetlistej wodzie
Śpiewamy pieśń o ojczyźnie,
Kończąc swój trud o zachodzie.

Z radzieckich pieśni ludowych
przełożył ZYGMUNT OŚCIEN

— Rozum on miał, panie, taka sprawa — zagadał pośpiesznie. — Z tej wojny tom z krzyżem walecznym do domu przyszedł, a jakże. Teraz dopiero, myślę sobie, zacznie się dla mnie życie. No i co? Nic, można powiedzieć, się nie zaczęło; po staremu na komornym bidowałem. Coraz mniej leśniczy w lesie tapal, no bo z czego miałem żyć? Tyle, panie, że jak do sadu trzeba było na sprawę iść, to ten krzyż waleczny przypinałem. I, prawdziwie, pomagano. Sędzia trochę nagadał i koniec, do domu wracałem. Najpierw to mi się podobalo, ale potem, myślę sobie — jak to jest? Złodziejstwem, prawdę powiedzieć, żyłem a oni nic. Za to, panie, żem na tę wojnę chodził. Mądry był ten młody, co mnie zezwał tam na polu. Ciekawa rzecz — żyje jeszcze czy nie?

Zagulgotał niewyraźnie przez sen, któryś ze śpiących. Kaźmierski ukradkiem obejrzał się na izbę i zamilkł.

— Tak. — Doszedł do wniosku, że można dalej mówić. — Może on i żyje, może na ten przykład, za pułkownika służy? U nich, mówią, tak bywa. Sami się rządzą, na to właśnie rewolucję urządzili. Nie dziwota, że ją świętują. A może właśnie na to święto ofensywę robią, co?

Ot, wróciła do punktu wyjścia nasza rozmowa — znów wzruszyłem ramionami. Kaźmierski znów poszukał słomy, znów próbował spalić ją w piecu — tym razem bez powodzenia. Podumał chwilę nad wygastym żarem i powoli zamknął drzewiczki paleniska.

— Pora spać — zdecydował. Znalazł sobie jakiś kawałek miejsca i wyciągnął się tam ostrożnie podkładając pod głowę pięść. Leżał bez ruchu. W izbie znów słychać było jedynie oddechy ciężko strudzonych ludzi. Zgasł ogarek świecy, zrobiło się całkiem ciemno, bo choć może brząsk już wstawał na dworze, chusta zawieszona na oknie nie pozwalała mu zajrzeć do izby.

Taki to by potrafił wszysko wythumaczyć — odezwał się nagle Kaźmierski. Rozumiałem, o kim mówi i domyślałem się, co by chciał wiedzieć.

EDWARD SZUSTER

Tarapaty reportera

NIE jestem teoretykiem reportażu i doprawdy nie potrafię powiedzieć, czy rację mają ci, którzy twierdzą, iż reportaż zajmuje się centralnymi problemami, czy też ci, którzy za cel reportażu uważają głównie pokazywanie ludzi w ich sytuacjach życiowych. Wydaje mi się wszakże, że o ba stanowiska należy połączyć, inaczej do niczego się nie dojdzie. Jestem w tej chwili pod wrażeniem pracy Lovella o Kaskach Kariatydach, pracy, którą sam autor uważa za reportaż, a która jest pomieszaniem publicystyki z kroniką wstrząsających losów ludzkich. Ta właśnie praca, której gatunku nie potrafiłbym zdefiniować, moim zdaniem spełnia cele, jakie należy stawiać przed twórczością reportażową.

Jako dziennikarz, uprawiający od szeregu lat reportaż w gazetach codziennych, pragnę podzielić się uwagami na temat jakości reportażu w gazecie, na temat tego, co się tu za reportaż uważa, wreszcie o pewnym sposobie reakcji czytelników na reportaż.

Pisma codzienne przyzwyczały czytelników do reportażu, który tym się różni od zwyczajnego artykułu czy notatki, że pomieszczone w nim kilka dialogów, oraz tak zwanych opisów przyrody. Zwroty w rodzaju „słońce wstawało”, „słońce zachodziło”, kiedy Fafuła czy inny Sinowas „popchnął drzwi”, „koniecznie przy tym „nerwowo”, sławne „iż i skompromitowane „spłukiwanie” podkreślające „proletariacką krzepę” bohaterów, klepanie po plecach i kilka innych prym tywnych „sposobów obrazowania”, wszystko to nie należy po dzień dzisiejszy do rzadkości. Ze smutkiem muszę przy tym stwierdzić, że dziennikarstwo na ogół nie umiejętnie różni form pisarskich. Jest dialog — znaczy, że to reportaż. Nie ma dialogu, nie ma opisów przyrody, rzecz napisana językiem ciężkim — artykuł. Pojęcie felietonu w zasadzie nie istnieje. Za felieton uważa się wszelkiego rodzaju dyrdymaki w stylu „spotkałem Frania” o tematyce z góry właściwie wysegregowanej. Można więc w felietonie pisać o gwoździach w chlebie, o nieuczciwych sprzedawcach, o dziurach w moście, ale tematów trudniejszych, poważniejszych na ogół nie uprawia. Ta dygresja była mi potrzebna dla zobrazowania stanu panującego w naszym dziennikarstwie, zwłaszcza prowincjonalnym.

A reportaż w gazecie miałby ogromne szanse rozkwitu. Każda ciekawsza pozycja reportażowa, bo i takie zdarzają się czasem, witana jest przez ogół dziennikarzy z dużym zainteresowaniem. Dyskutuje się o niej, wyciąka braki (zazwyczaj więcej niż ich jest w rzeczywistości) i to jest dobrze. Powiedziałbym: bardzo dobrze. Złe jest natomiast, że tylko nieliczni dziennikarze puszczają się na wody reportażu, przy czym proszę nie traktować słowa „woda” dosłownie...

Ta dziedzinna twórczość dziennikarskiej, że tak ją gornie nazwę, ma w sobie dla wielu coś z tabu, co, na czym można się najczęściej potknąć. Ot, spotyka się w terenie niesympatycznych sekretarzy partyjnych, gburawych kierowników, nieuków zajmujących stanowiska w referatach kultury, i miałby człowiek ochotę powiedzieć o tym, wygarnąć wszystko co wie, napi-

sać, jak to czynił nieraz Kozicki, Lovell czy inni, „po maturskiej”. Ale sek w tym, że ci znani reportażyści, kiedy mają na warsztacie jakąś niesympatyczną postać — z reguły opatrzą ją zmyślnym nazwiskiem, albo poprzestają na jego pierwszej literze.

Dziennikarzowi w prasie codziennej tego nie wolno. Dziennikarz musi opierać fakty. To już nie jest literatura, to jest życie, odpowiedzialność za każdy przecinek. I to najbardziej zabija w gazetach reportaż, zabija chęć do poszukiwania ciekawych problemów. Na ilustracyjkę malowane różowym pędzlem już się dziś niewiele lasi, a życie bywa skomplikowane, trzeba by nieraz uderzyć pięścią w stół, trzeba by powiedzieć, że ten czy ów towarzyszy prelegent ma kluski w gębie, a w głowie trociny sloganów plus wielką zaręczność. A nie można, przynajmniej nie zawsze można.

Chciał dziennikarz napisać reportaż o wykładach uniwersyteckich, zgodził się nawet zamienić to na zwykły artykuł. O wykładach pewnych profesorów — źle. Że są nudne, że nieciekawe, że puści, że straszne, że studenci czytają pod pulpitami książki, że bywają wypadki gromadnego opuszczania wykładów i za to dżekanały wyciągają konsekwencje wobec studentów, nie zając sobie trudu zbadania sprawy głębiej. Niestety, trzeba by tu operować nazwiskami ludzi skądinąd cenionych i cennych. A to już sprawa delikatna. Jest temat na reportaż? Jest. Nie można o nim napisać? W tej chwili — nie.

Takich tematów można by wyliczyć znacznie więcej. Spotkałem się kiedyś w terenie, w czasie wyborów do rad narodowych, z wypadkiem tego rodzaju: chłop pewny wsi odrzucił kandydaturę milicjanta miejscowego posterunku, zarzucając mu że obchodzenie się z ludźmi, zarozumiałstwo, dygnitarstwo. Komendant powiatowy MO, zaalarmowany tym wypadkiem, przyjechał do wsi, by rzecz wyjaśnić, przyszedł w rezultacie chłopom rację. Ale dziennikarz nie mógł tego faktu zużytkować w reportażu. Wykreślono mu go ponieważ, wg ówczesnego redaktora, zachodziła obawa wysnuć przez społeczeństwo wniosków, jakoby chłopstwo było wrogiem MO. O ważniejszym o całe niebo aspekcie wydarzenia, o tym, że wspomniany fakt świadczył o absolutnej dobrowolności wyborów, o swobodzie decydowania wyborców, kto ma być kandydatem, wbrew temu, co tak gorliwie głosiły zagraniczne radiostacje — nie pomyślano. Nie wysłuchano też opinii dziennikarza. To wiąże ręce, poważnie kępuje ambicje dziennikarzy. Czujność czujności, ale asekurancja, którego wcale nie zdumiał do szczytu wiatr Trzeciego Plenum, asekurancja żyje, i ono w głównej mierze hamuje rozwój reportażu.

A wydaje mi się, że reportaż może się rozwinąć i rozwinie, wówczas, gdy powstaje w wewnętrznej potrzebie napisania go, kiedy człowiek — dziennikarz przeżyje jakieś zdarzenie, kiedy jakaś wiadomość wstrząśnie nim, kiedy sam się dokopuje prawdy, nie sugerowany nastawieniami zwierzchników (nie odmawiam im prawa do **madrego** kierownictwa zapędami reportażu). Sam napisałem w życiu wiele reportażu, gorszych i lepszych, chwalebnych i ganiionych. Ale jakże często opi-

nie o nich były sprzeczne! Tak zwani prości ludzie chwaliли to, co się nie podobalo niektórym powiatowym aktywistom i na odwrót. Kiedyś się nad tym zastanowiłem, stwierdziłem — dla mnie przynajmniej jest to stwierdzenie bezsporne — iż wielu aktywistów obawiało się ocenić zdemaskowania jakiegoś przykrego faktu pozytywnie, argumentując po staremu, że to woda na młyn wroga. A czyż lepiej, kiedy wróg miecie ozorem na wszystkie sposoby wśród ludzi, którzy mówią: patrzcie, jak to jest. Świństwa się dzieją, a gazety o tym milczą. Lovell, który atakuje rzeczywistość z pozycji człowieka głęboko w nią zaangażowanego, który demaskuje coraz nowe obszary zastających kompleksów, albo rozbiłają narastającą, bo nie rozbijaną systematycznie plotkę (przykład: straszne cyfry noworodków rzekomo utopionych w jakiejsz sadzawce w Nowej Hucie), Lovell może się moim zdaniem nazwać prawdziwym reportażyście. Ale czyż w tym fakcie, iż Lovell napisał reportaż o Kaskach Kariatydach dopiero w końcu roku 1955, a przed nim żaden dziennikarz nie chwycił plotki za łeb i jej go nie urwał, ku uciesze patriotów, a na pohybel „Judoizm dnia wczorajszego”, czyż ten fakt nie oskarża reporterów pism codziennych, krakowskich zwłaszcza, że chowali głowę w piasek, że pozwalali plotce mnożyć z dnia na dzień ilość zamordowanych noworodków? To oskarża. I nie tylko reporterów, ale ich kierowników, i kierowników kierowników — czyli Komitety Wojewódzkie.

Jako reporter mający głęboką wiarę w skuteczność reporterskiej roboty, tej najtrudniejszej z prac, bo polegającej na odkrywaniu kart aktualnej rzeczywistości bez pomocy perspektywy, oddalenia lat, po których upływie tak nam łatwo widzieć dawne błędy i czarnizny, jako reporter pisma partyjnego, domagałbym się od swoich zwierzchników, od Komitetów partyjnych zwiększenia troski o nas, piszących o sprawach najtrudniejszych. Jak sobie tę troskę wyobrażam? Podam na przykładzie. Swego czasu napisałem reportaż o spółdzielni założonej w pewnym powiecie, o spółdzielni fikcyjnej, bo skupiającej ludzi, których albo oszukano, albo niezdolnych do roboty w polu, spółdzielni, której nieszczęśliwie, zaplanowanym zresztą w KP, było stać się którąś tam setną w województwie. Zwyczaj każę wszelkie takie pełne liczby czyścić. Czci się starych dziadków dla tego, że skończyli któryś tam krzyżyk, czyż nie także spółdzielni. Niestety, tej spółdzielni uczuć nie mogłem. Pokazałem całą głupotę tych, którzy w pogoni za sławą i ogłoszeniem wyników ich „trudu” w gazecie, uczynili krzywdę ludziom, krzywdę całej sprawie spółdzielczości. Reportaż został przyjęty przez KP okoniem. Zarzucono mi fałsz, ssanie z palca, uwierzone natomiast aktywiście, którego pracy nigdy nie sprawdzano, że to on ma rację, mówiąc, iż nikt nie oszukiwał. Sprawa natomiast oparła się o Komitet Wojewódzki, o jego pierwszego sekretarza. Winni otrzymali błyskawicznie, przy pomocy kabla telefonicznego taki „wyrok”, że już w następstwie nie poważyl się zaprzeczać niewygodnej prawdy. Takie stanowisko Komitetu dodaje

(Dokończenie na str. 7)

Czwarty żywioł

DOSZŁA nas rewelacyjna wiadomość! Oto uczeni, obok trzech znanych już żywiołów: ognia, powietrza i wody, odkryli czwarty — kibiców sportowych. Łodzenie mają w związku z tym niemało powodu do dumy, gdyż w naszym właśnie mieście udało się uczonym sklasyfikować naukowo to zjawisko.

Powiadają więc uczeni, że żywioł to szczególnie niebezpieczny. Cichy zazwyczaj w ciągu tygodnia, szaleje w niedziele — łamie płoty, gałęzie drzew, niszczy druciane siatki, niesie wraz ze sobą mnóstwo kamieni, szkła użytkowego i chociaż dotąd nie stychać o śmiertelnych wypadkach — ofiary tego żywiołu trafiają często do szpitali i na posterunki milicji, gdzie powracają do przytomności.

Czy można ten świeżo odkryty żywioł ujarzmić i zmusić, by jak inne, służył budownictwu socjalistycznemu? Niewiele — jak dotąd — da się na ten temat powiedzieć. W każdym razie ekonomici już dzisiaj sądzą, że powinna go wykorzystywać centrala odpadków użytkowych, sekcja skupu butelek. W tej dziedzinie gospodarki możliwy jest zasadniczy przełom, przejście na wyższy etap, prowadzący do detalizacji skupu po domach i sklepach, do masowego i nieodpłatnego. Jest więc przy okazji szansa na obniżkę kosztów własnych, bowiem żywiołaki, znaczy — kibice sportowi, zostawiają po sobie setki i tysiące flaszek, które można za darmo zbierać. Meteorolodzy przewidują, że centrala łódzka uzyska pierwsze miejsce w skali krajowej.

Na razie jednak uczeni badają warunki, w których żywioł występuje. Ustalono już niezbitie szereg faktów. Żywiołakom odpowiada szczególnie mecze piłkarskie, a szczególnie sprzyja — używając nomenklatury znawcy obyczajów inteligencji twórczej J. Putramenta — „burzazyczna otoczka”. Bliska analiza zakresu tego pojęcia pozwoliła ustalić, że chodzi tu o zjawiska z dziedziny nadbudowy, a mianowicie obyczaje w naszym sporcie. Wyrastają one na szerokiej bazie inicjatywy prywatnej i nie tylko.

Faktem naukowo stwierdzonym jest, że rozmaici sklepikarze, drobni przedsiębiorcy, wykorzystują się kulturalnie na meczach bokserskich i piłkarskich, a czasem w cyrku — noszą w sobie bakcyle omawianego tu żywiołu. A, że posiadają oni często samochody i motocykle — tym należy sobie tłumaczyć niezwykle szybkie przenoszenie się żywiołaków z miejsca na miejsce. Jednej niedzieli zasypali flaszkami boisko warszawskie, drugiej stratali kilka naciętych osób i połamiali ogrodzenia na boisku w Łodzi. Żywiołaki, zostało to niezbitie dowiedzione, wożą ze sobą specjalną „wodę życia”, która zapala ich wyobraźnię, podnieca do wspaniałych rękoczynów — płańdrowania samochodów w poszukiwaniu sędziego-kalosa, czy nawet sportowca, który uścisłoby zatrzymać żywioł.

Ala pamiętać trzeba, że bakcyl żyje również doskonale na pożywce lokalnego patriotyzmu, który lepiej w tym wypadku nazywać szowinizmem. Te pożywki znajdują w organizmach niekoniecznie obcych klasowo, jeżeli brać

pod uwagę pochodzenie społeczne, zawód rodziców i stosunek do produkcji. Owszem, nosicielami bakcyla, bywa młodzież robotniczo-chłopska, a także inteligencja pracująca bez względu na przynależność partyjną. Nierzadko sami piłkarze i działacze sportowi. Stowem, wszyscy wyznający starożytną zasadę: sportowiec sportowcowi, drugima drugiemu — wilkiem jest. Oni to w sumie stanowią dopiero ową „burzazyczną otoczkę”, pokazującą dowodnie, że nie wszystko co złe umiera na poczekaniu.

Jak się dowiadujemy, uczeni badają obecnie wzajemne zależności wewnątrz poszczególnych grup „otoczki”, aby wykryć ogólne prawidłowości. Szczególnie interesujące przedstawia się proces wchłaniania przez żywiołaki — poszczególnych sportowców, zwłaszcza zaś zastępujących mistrzów sportu. Proces ciekawy, ale nietatowy do zbadania. Jedni uczeni twierdzą, że główną rolę gra tu akt, nazywany „kupowaniem”. Za każdą strzeloną bramką — „funda”, kolacyjka z przystawkami, zabawa do białego rana, prezencik i co tam jeszcze chcecie.

Jednakowoż ta teza budzi poważne wątpliwości wśród innych uczonych. Przecież kierownictwa zresztą sportowych, a i najwyższe władze sportowe, stanowią dla żywiołaków niebezpieczną konkurencję. Premie, dodatki na wyżywienie, zwolnienia z pracy, treningi w najpiękniejszych kurortach, obozy kondycyjne — kadrowe, zresztą niowe, zaprawcze, letnie i zimowe, wiosenne i jesienne oraz inne zabiegi mające przysporzyć naszemu sportowi międzynarodowej sławy — tego żywiołaki swoim ulubieńcom, zapewnić nie mogą. Z tego też powodu jeszcze inna grupa uczonych lansuje tezę, że te właśnie oficjalne „pieszczotki” powodują nolenis volens stan, w którym bakcyl czwartego żywiołu łatwiej ogarnia świecznikowe nawet postacie sportu.

Świadczą o tym, dające się stwierdzić, ograniczenia pamięci u sportowców Polski Ludowej. Im więcej „pieszczot” ze strony GKKF, tym mniej pamięta o godności osobistej, tym mniej w nim przekonania, że od sportowca wymaga pewnej społecznej, rzekłbym — rycerskiej postawy wobec życia: zdolności panowania nad sobą, taktu, hartu, który pozwala na honorowe przegrzanie (umiejętność przegrzania „w ogóle” problemu u nas nie stanowi). Która grupa uczonych ma rację?

Myślę, że należałoby im stanowczo dopomóc. Proponuję, aby zabrali głos mistrzowie sportu, opanowani przez bakcyla czwartego żywiołu. I znowu my — łodzianie — jesteśmy w szczególnym położeniu. Nie musimy impotować Króla z Warszawy, czy Trampisza z Bytomia, kiedy nasz jeden z bohaterów wielkiej akcji żywiołaków na stadionie Włókniarza, może wypowiedzieć się na temat: „Jak poparłem chuliganów”? Służymy miejscem w „Kronice”. Będzie to głos autorytatywny, ba! — nawet wzorcowy, radnego, prawdziwego ojca miasta. Boże, byłbym zapomniat — i mistrza sportu.

KRONIKARZ

TADEUSZ KUBIK

Tramwajarz był najbogatszy

MIASTO nazywało się Łódź, a rzecz wydarzyła się na jej robotniczym przedmieściu — Chojnach, w jednym z wielkich koszarowych domów, zamieszkałych przez kilkuset pracowników Scheiblera, Geyera, Steigerta i innych magnatów przemysłu włókienniczego. Mieszkało w tym domu 98 rodzin w 66 izbach. Żyli tam ludzie weseli, chwaccy i z zapalem korzystający z najłatwiejszej rozrywki, jaką Bóg dał biednym, pomnażającym beztrudnie liczbę jego wyznawców. Zawsze też chrzciny i pogrzeby stanowiły nieledwie cotygodniową radość, a jeżeli do tego dodać weseliska, liczne a obfite jada i napitek, to okaza się, że dom na ulicy Rzgowskiej był nieustannie podniecony i zaferowany.

Zadna z wymienionych uroczystości rodzinnych nie zamykała się w czterech ścianach jakiegokolwiek rodziny. Uczestniczyli w niej wszyscy mieszkańcy podwórza. Oczywiście nie można było każdego np. zaprosić na ucztę weselną, konsolację po pogrzebie, ale gośdarski poczęstunek plackiem dla wszystkich tłoczących się w takim wypadku, gapiów należało do ściśle przestrzeganych obowiązków towarzyskich.

Przenieśli ci, w pierwszym z drugim pokoleniu zaledwie, proletariatusz miejscy, zwyczaję ze wsi, skąd tłumnie przybywali kiedyś do Łodzi do „roboty”, nie chcąc uparcie widzieć faktu, że inaczej to wyglądało w obszernych parterowych zabudowaniach miejskich, a musiało się zmienić w obyczaj-

ową karykaturę w trzypiętrowej, ciasnej kamienicy, z koślawym podwórzem.

Konduktu pogrzebowe, które wyruszały z naszego podwórka były zawsze tłumne, a przez to głośnie na całym Chojnach, co stanowiło nie lada powód do dumy. Nigdy nie będę już na tyłu pogrzebach, co wtedy, gdy jako jedenaścioletek odprowadzałem zmarłych Kowalskich, Ciszaków, Neumanów i Rubinsztoków. Mimo bowiem dużej religijności, zgodnie oddawali sobie ostatnią posługę Polacy, Żydzi i Niemcy. Nie było to średniowiecznej drapieżności w religii mieszkańców tego domu, bez względu na to, czy to był Janiak — katolik, Neuman — ewangelik, czy Przetacki — Żyd. Oczywiście, na co dzień zdarzały się spory religijne, jak np. wtedy, gdy mając 10 lat wdałem się w rozmowę o teologii z Fawkiem Fuxsem. Siedzieliśmy pod sklepieniem z suszających się desek stolarza, kiedy Fawek stwierdził: — „Wiesz, żydowski Pan Bóg i polski Pan Bóg — to wszystko jedno, tylko on się inaczej nazywa” — a ja przytaknąłem na moje nieszczęście: „No, pewnie”. Na nieszczęście, bo właśnie o ów stos drzewa oparł się mój ojciec, wracający po fajrancie i wypłacie i usłyszał to bluźniercze stwierdzenie. Oczywiście, najpierw wlepił wały Fawkowi, który pierwszy wysunął głowę, ale i mnie się dostało, choć ojciec nie był pewny, czy tłucze mnie, swoje ukochane dziecko, czy Władka Górskiego, potomka nie-lubianej rodziny straganiarzy.

Również wtedy, gdy 80-letni Pejrys, stary Żyd z parterowego mieszkania, zbyt głośno protestował przeciw Wiel-

kanocnej strzelaninie z pęczków, bowiem był chory na serce, w naszej tj. wyrostków obronie stawali starsi wyciągając w kłtni z nim m. in. argumenty dogmatyczne w rodzaju:

— „Jak wy żeście naszego Jezusa krzyżowali, to myśmy nie nie mówili.” Na to milki stary Pejrys, no, bo rzeczywiście, oni wtedy nie nie mówili.

Moja pamięć sięga czasów, gdy w pierwszych mieszkaniach robotniczych rozbiły się żarówki. Na ogół w większości mieszkań używano jednak archaicznych lamp naftowych, bowiem instalacja elektryczna kosztowała za drogę. Korzystający z niej zaliczali się do „arystokracji”. Był między nimi sam właściciel naszego domu, Adolf Wagner, zapiający cześć Niemczyko, stolarz z dziada pradziada, którego rodzony syn, hulaka i oszust, wcześniej przyprowadził o sieć zmarszczek, nadających jego twarzy smutno-drapieżny wyraz starego szczeniaka. Płacił stary stolarz sfalszowane weksle swojego syna, kilka razy wyciągał go z więziennej celi, ale coraz częściej rozpował się a futryny, stoły, krzesła krzywiły się w jego rękach coraz bardziej.

Nasze życie wpływało między ścianą ogromnej trzypiętrowej kamienicy a rzędem drewnianych komórek. Pośrodku sterczał zawsze przepiękny i zaszczurny śmietnik, źródło dochodów tzw. „kojsiarzy”.

Jeżeli nie widzieliście ndzy ludzkiej, to wyobraźcie sobie człowieka, który wygrzebywał pośród popiołu, śmieci, obierzyn kartoflanych, jakieś szczytki butelek, szmat, czy starego człowieka.

Chodzili na „kojsy” ludzie w różnym wieku, często stare kobiety, a najczęściej dzieci. „Kojsiarz” — to było dno. Z kluczem zawieszonym na szyi biegło się cały dzień, często zapominając o powrocie dorosłych z fabryki, z poczuciem niczym nie skrepowanej niebotycznej przewagi nad innymi, z daleka znajomymi dziećmi, które chodziły na spacer z mamusią.

Szkoły nie traktowaliśmy na ogół poważnie. Życie liczyło się od wakacji do wakacji. Ustawa o powszechnym nauczaniu nie miała zbyt wielu zwolenników wśród naszych rodziców.

Rej wśród dzieciarni wodził samodzielni, to jest ci, którzy potrafili zarabować i... dobrze kłąć. Jakżeż wtedy zazdrościłem gazetiarzom! Kiedy po raz pierwszy udało mi się, dzięki protekcji jednego z nich, ujrzeć w drukarni maszynę rotacyjną, wypływającą w ciągu minuty setki gazet, zostałem nią oczarowany na całe życie.

Niestety, ojciec nie miał zrozumienia dla mych nowych zamiłowań i ujrzałszy mnie kiedyś na ulicy z plikiem gazet pod pachą, stłukł mnie niemiłosiernie, oświadczając, że „jego syn nie będzie, jak działołowskie dziecko sprzedawać gazet”. Miał ojculek honor korbowego tkacza, któremu duma zawodowa nie pozwalała, by syn był gazetiarzem. Nie stawił natomiast przeszkód, gdy w czasie wakacji sprzedawałem rolki na muchy, wiśnie, jagody. (Był zresztą późniejszy taki okres, gdy mój zarobek dwunastolatka — był podstawą utrzymania całej rodziny). Ludzie samodzielni stanowili szczyt hierarchii wśród

dzieciarni podwórza. Na samym dole były dziewczynki, narażone zresztą zawsze na naszą chłopczyńską pogardę. Rozrywki mieliśmy mnóstwo: gra w chowanego (na Chojnach mówili się „plincówka”), w „policjanty i złodzieje”, w „klasy” itd. Piłek gumowych niewiele używaliśmy, ale za to w kopaniu „gałganiarki” czy „gracówki” (piłka z litej gumy) byliśmy niezmordowani. No, a raj po prostu otwierał się przed nami, gdy po burzy i ulewie rynsztoki uliczne zamieniały się w wrzące potoki. Łaziliśmy po pas w brudnej, mętnej wodzie, łowiliśmy korniki od butelek, puszczałyśmy papierowe łódki, a czasem udało się wytoczyć z podwórka balie i płynąć niczym na „Batorym”. Rozrywką wyższego rzędu było kino. Cóż, bilety dziecińny kosztował 10—25 groszy, grano na jednym seansie dwa filmy (arcymiejsza komedia z Haroldem Loydem plus wstrząsająca krew w żyłach tragedia uwiedzionej dziewczyny, plus dwuaktowa farsa), a na dodatek kronika Pat-a lub Foxa.

Najbardziej było kino „Sfinks”. Długa, trzymetrowa kieszka mieściła zawsze dwukrotnie większą ilość widzów, niż krzesła. Tłoczno i duszno było nie do wytrzymania. Ściany mokre od wywiezionych ludzkich a powietrze niewiele lepsze niż w kloace. Ponieważ wyjścia zapasowe wychodziły na nieoświetloną ulicę Mochnackiego, nie można było otwierać, bo na to tylko czyhały „elementy”, tj. chuligani i bezrobotni, którzy wtoczyliby się do wnętrza za darmo.

(Dokończenie obok)

Pan Engel, mały czarny Żyd, rozumiał jednak wymogi higieny i kiedy zaduch stawał się nie do zniesienia i odzywały się krzyki: — „Panie Engel, do cholery, bo śmierdzi!” — ukazywał się między rzędami z pompką rowerową, z przyklepioną do niej puszką po płynie na insekty, i rozpylał nad głowami widzów mocno rozcieńczoną wodę kolońską, po czym pytał: — „Już jest dobrze, co?”

— O, tak, panie Engel, w porządku!

Po tym zabiegu śmierdziało jeszcze mocniej, zwłaszcza, że wobec braku toalety w kinie, mamusi nie wyprowadzały swych dzieci, ale wysadzały je pod krzesła.

Co tam jednak to wszystko wobec czaru srebrnego ekranu!

Po seansie pan Engel familiarnie zęgnął rodziców.

— Do widzenia, panie Kamiński, do widzenia, panie Cisek!

— Do widzenia, panie Engel. Co pan dajesz na przyszły tydzień?

— Nic nie mówię. Pani użyje ze trzy chusteczki. Będziemy grać „Mękę Pana Jezusa”.

Nikt nie żałował wówczas jeszcze złotówek na kino ani na „ciwiartkę”. Weszło i pogodnie było więc w na-

— Żebym, ja psia krewna, tkacz korytów musiał ze siebie małe robić! O świecie, świecie...

Licząc na takie przypadkowe zarobki ludzie zaciągali drobne, złotówkowe pożyczki u jednego bogacza w naszym domu, kontrolera tramwajów miejskich. Procedura operacji kredytowej nie była skomplikowana. Z trzystu prawie złotych (pewno tyle pieniędzy nie mieli) naraz wszyscy lokatorzy, jakie zarabiali ów potentat co miesiąc) jego dzielna małżonka, chorowita, jadłowicie złośliwa i pożądana kobietka, pożyczala kilkadziesiąt złotych na „procent”. Gdy po długich uprzejmościach wstępnych, świadczonych pani kontrolerowej, udało się uprosić 2-złotową pożyczkę, otrzymywało się złotówkę. Druga złotówka; to był z góry spłacony procent. Ponieważ taka jawna lichwa mogłaby wywołać odruch buntu u

Od tej chwili żyłem gorączką przygotowań do wyprawy. Marny był jej pionierski ekwipunek: cztery szpadle, trzy kilofy i plecak lub zawiniątko z bochenkiem chleba i fiolką herbaty dla każdego poszukiwacza. Naturalnym wodzem został mój ojciec. Wyobraźcie więc sobie moją dumę, jego najbliższego pomownika i rodzonnego syna!

Do Pabianic pojechaliśmy tramwajem. Biła od naszej grupy taka siła, że wszyscy handlarze z szacunkiem robili nam miejsce w wagonie.

— Panowie do roboty jadą? — zapytał jeden z nich.

— Do roboty, do roboty — z akcentem ironii odparł murarz Kowalski. — Jak wrócimy z tej roboty, to kupimy ciebie razem z twoją starą i dziećkami.

— Oj, co to za wspaniała robota — zaciękał się handlarz i zaczął coś mówić po żydowsku do swoich towarzyszy. Szmer i szepty poszły po tramwaju.

Do Dłutowa, podległ wsi 24 km na południe od Łodzi, dotarliśmy po południu. Co gorętsi pragnęli natychmiast udać się na poszukiwanie, ale opanowany wódz wyprawy t. j. mój ojciec nakazał odpocząć, a poza tym polecił wszystkim, by opowiadali, że są robotnikami z fabryki pana Eisenta, którym kazał on przyjechać i jako fachowcom tu, w swoim majątku, założyć „sanitocykale”.

— Nie wiecie, chłopcy, co to są sanitocykale — pytał drwiąco ojciec gromadzących się tubylców.

— A no, nie wiemy.

Nocowaliśmy pod stogami w polu. Ułożono plan działania: wszyscy mieli szukać rzucających się w oczy drzew. Skrupulatnie mieliśmy na oku lasy. Ale w myśl zaleceń ojca, nie należało też obojętnie przechodzić obok wielkich głazów, kamieni czy kapliczek przydrożnych. Część uczestników miała każdorazowo spełniać rolę czujek i ochrony dla grupy kopającej. Kopać miało tylko od brasku do wschodu słońca i po zachodzie słońca do zmierzchu. Księżyce nocą też były nie do pogardzenia. Och, wspaniałym strategiem okazał się mój ojciec. Jako żywo przypominał mi „Ducha puszcz” Dżibbenosaka, a jego towarzysze walecznych Apaszów z „Mglistych Gór”.

Mijał dzień, drugi, trzeci. Mijał trzeci dzień naszych poszukiwań a tu nic, żadnego skarbu. Wszyscy byli zmordowani, wygołodzeni, zmęczeni. Postanowiono wracać. Po 12 kilometrowym marszu dostrzegliśmy do Pabianic, by stamtąd jechać do Łodzi. Rozsiadliśmy się pod płotem, chroniąc się w cieniu gąszi przed ostrym, obojętnym słońcem. Nikt nie odzywał się ani słowem. Mordka Dziewczepolski, który, zostawiając w swojej miszmarce jacek z mięsem „koszer i tref”, małżonkę, również brał udział w wyprawie, wybuchnął tylko w pewnej chwili stekiem polsko-żydowskich przekleństw, zarzucając mojemu ojcu, że „jak głupi!” potwał się na przedsięwzięcie i namówił innych. I aczkolwiek mój ojciec nie był inicjatorem wyprawy, a poza tym lubił żelazka, sam był tak zniechęcony i wściekły, że odrzucił mi tylko wywołanie: „stul mordę!” — i pogroził się w niewesoło widoczne myślach. Na moje „pić mi się chce”, trzepnął mnie tylko w ucho, a mi w obydwoch zadzwoniło.

Pod koniec dnia przetrwał nagle jakiś gwan, krzyki i tupot wielu nóg. Gdzieś w bocznej uliczce buchnął strzał rewolwerowy. Po chwili wyłonił się tłum. Hutzał, przelewał się. Słychać było krzyki:

— Pod magistrat, pod magistrat!

— Inni skandowali. — Pracy i chleba! Pracy i chleba!

Leżący pod płotem mężczyźni parzyli na widok spokoju i obojętności. Gdy tłum mijał właśnie naszą grupę, policjant uderzył z całej siły pałką jakąś starszą kobietę, która krzyknęła rozzłością. Widocznie dostała pałką w twarz, bo z nosa buchnęła krew, plamiąc jej sukienkę i padając grubymi kroplami na ziemię.

— Ty, cholero, nie bij kobiety — krzyknął mój ojciec podskoczywszy do spalonego policjanta, i tak silnie szarpnął go za łokieć, że ten zatorczył się i upadł. Mój wrzask zmieszany się z krzykami demonstrantów, basem Przetackiego i szumem demonstracji. Zakotłowało się wokół nas, mignął mi przed oczami jakiś żad koński, coś klesnęło, temperatura wzrosła o 100 stopni, uczulem głuchy ból i... straciłem przytomność.

Nie, policjant nie strzelił ani do mnie, ani do ojca. Dostałem tylko gumową pałką.

Na nic nie zdały się tłumaczenia ojca i jego towarzyszy, że nie mieli zamiaru brać udziału w demonstracji, że demonstracja ich nie obchodziła. Tajniacy zarykiwali się ze śmiechu — komisarzowi policji aż trząsł się brzuch — gdy im ojciec wyjaśnił, że oskarży i szpadle mieli ze sobą, ponieważ poszukiwali skarbu. Dostaliśmy po dwa miesiące więzienia za „próby zagrożenia ustroju państwa”. Ale nie odsiedzieliśmy tych 2 miesięcy. Więzienia były przepiękne.

TADEUSZ KUBIK

JAROSŁAW M. RYMKIEWICZ

Z pamiętnika studenta

Dyskusja o Uniwersytetach

Październik 1954.

Początek studiów. Nie, nie lubię tej pory roku. Każdy studencki październik stawia podstępne pytania: co zrobiłeś w latach, które przeszły, i — po co studiujesz?

Bardzo chciałbym wiedzieć, po co studiuję. Może będę w pierwszej klasie szkoły podstawowej uczył dzieci, jak robić zabawki z klasztorów i zapalek? Może będę korektorem w gazecie? (No tak, co jak co, ale ortografię można opanować przez cztery lata studiów). Jeśli jednak nie otrzymam przydziału pracy do szkoły, czy do drukarni, zostaną być może, humanista dla potrzeb rejonu? Doprawdy, wątpliwe, aby potrzebował humanistów rejon, który nie może zapewnić im przydziału pracy...

W kawiarni, w rozmowie przy wieczornej herbatce, padają już groźne słowa: „nadprodukcja inteligencji”. — Ze tylko humanistycznej? Na razie, na razie, na razie... Głupie i smutne. A przecież wystarczy zmienić nieco strukturę, kierunek natarcia polonistyki uniwersyteckiej... Niech wychowaniem nauczycieli zajmnie się PWSP, niech mury uniwersytetu opuszczają naukowcy, krytycy literaccy. Tych ciągle brakuje.

A przecież chciałem być studentem idealnym. Dwa lata temu zawiesiłem nad łóżkiem kartkę, na której starannie narysowałem siatkę rozkładu zajęć. Wertowałem dzieła, które miały mnie pouczyć o technice pracy umysłowej. Nie opuszczałem wykładów i zebrań. Przygotowywałem się do ćwiczeń. Dziś nie interesuję się tym, w jakim seminarium wezmę jutro udział. I okazało się, że świetnie można poradzić sobie na studiach, nie znając techniki pracy umysłowej. Nie pracując umysłowo.

O podstępny październiku! Nie jestem już studentem idealnym. Jestem „emigrantem wewnętrznym”.

Listopad 1954.

Leżę chory. Cóż za błogie uczucie! Nie muszę biegać z wykładu na ćwiczenia, z ćwiczeń na próbę zespołu artystycznego, nie muszę uczyć się. Przez całe trzy dni nie patrzę w twarz strasznego demona, którego imię — dyscyplina studiów, a który powołany został przed kilku laty do walki z burzą uniwersytecką. Być może był w tej walce orężem skutecznym, ale rozstrzygnął się, wypisał na papierkach, zarządzeniach i okólnikach i dzisiaj znalazł sobie nowy obiekt: studenta.

Nie wiem, jaką rolę odgrywa mechanizacja stosowana dyscyplina studiów na wydziałach matematycznym, technicznym. Nie sądzę, aby to była rola pozytywna. Na humanistyce — wiem to na pewno — zagraża ona wiedzy studenta, który nie ma czasu. Nie mamy czasu na czytanie, nie mamy czasu na pisanie, nie mamy czasu na myślenie. Ale studiujemy (tzn. uczymy się), ale zdajemy egzaminy. Dziekanat pisze sprawozdania, Ministerstwo jest zadowolone, PKPG jest obsłużone, a my głupiejemy, głupiejemy...

Ten, kto usiłuje przerwać stałową siatkę rozkładu godzin, wchodzi w konflikt z Komisją Dyscyplinarną. Nieprzyjemna nazwa. Pozostaje jednak jeszcze jedno wyjście. Przenosząc nazwę z komentarzy politycznych w prasie, jest to — emigracja wewnętrzna. „Emigranci” nie mają wiele czasu na uprawianie swoich zgubnych praktyk, które prowadzą do wyrwania się z oświatlającej atmosfery polonistyki uniwersyteckiej, na potajemne zdobywanie wiedzy. Wykorzystują co nudyjsze wykłady, a choroba jest dla nich dobrodziejstwem nieoczekiwanym.

I oto właśnie wymigrowałem. Leżę na kanapie i czytam „Czarodziejską Górę”. Nie, to nie jest pozycja z wykazu lektur obowiązkowych. Nie umieszczono jej tam. Być może, Mann jest „niepewny ideologicznie”, a może zbyt trudny dla studenta polonistyki? Nie wiem. Ci, którzy układali wykaz, też zapewne nie wiedzieli. Sądzę jeszcze, że konieczność odgórnego przygotowania spisu tytułów, które student polonistyki znać musi, jest już sama przez się wielce żenująca.

Grudzień 1954.

W piątek słuchałem wykładu z kursu materializmu dialektycznego i historycznego, w sobotę mam ćwiczenia z historii literatury. Wiem już: metoda jest kluczem, którym otwierać będą bramy literatury. — Opanowałem metodę? Egzamin zdałem z wynikiem pozytywnym? Działaj więc. — Ale jak, szanowni, ale jak? Przecież w piątek słuchałem wykładu z kursu materializmu, a w sobotę mam ćwiczenia z historii literatury...

Marzec 1955.

Wydaje mi się, że nigdzie nie można z tak pięknym efektem handlować nieuctwem i blagą, jak na polonistyce. W owej dziwnej krainie o wielu książkach nie mówi się głośno, pył zapomnienia pokrywa współczesną literaturę

zachodnią, wiele pozycji z dwudziestolecia międzywojennego, — to owoce zakazane. Solidarność nie może się tu cieszyć długo powodzeniem, bo solidarność jest ograniczona do pewnych tematów i szybko staje się nudna. Co sprytniejsi handlarze więc nazwiskami wstydliwymi. Znam tych handlarzy. Tu rzucą tytuł, tam błyskotkę cytatu. Wiele słyszeć. Trudno ich winić. Wykorzystują tylko dogodną atmosferę. A kogo winić za stworzenie atmosfery?

Odezwała się w nas pasja kolekcjonerska. Zbieramy z zapalem podręczniki szkolne dla klas IX, X, XI. Także wypisy z literatury dla klas podstawowych. Zbliża się początek sesji egzaminacyjnej.

Lipiec 1955.

Siedzimy w kawiarni. Z. woła, rozentuzjazmowana: — Przeczytaj to! — i rzuca mi na kolana ostatni numer „Przekroju”.

Wybacz mi, moja droga, ale ja nie będę czytał wierszyków Kerna, które tak bardzo podobają się tobie. Oczywiście, milczę, ponieważ „de gustibus non est disputandum”. Myślę tylko ze smutkiem: „Mój Boże, trzeba także odrębnie smaku”. Myślę też o tym, że Apollinaire zapewne nie cieszy się zaufaniem Z. Bardzo niezrozumiały.

Z czym opuścimy uczelnię? Z opisaną „metodą”, tzn. z umiejętnością posługiwania się kilkoma wykrętami na pamięć formułkami i cytatami. Niewzmiętnie, z pewną wiedzą o charakterze faktycznym. I co dalej? Kiedy polonistyką wychowywać będzie ludźmi, którzy potrafili odróżnić twórców od epigonów, poezję od ekliwów, szlagierów tekstów, którzy potrafili oceniać, wychowywać, kształtować upodobania innych? Do tego, oczywiście, nie wystarczy wysłuchanie najciekawszej nawet poprowadzonej dyskusji na seminarium, gdzie z konieczności zawsze mówić się będzie o wybranych tematach z historii literatury. I nie wystarczy znajomość pozycji z zawstydzającego ubogiej listy lektur obowiązkowych. A więc — praca samodzielna? Potrzeba do niej trochę czasu, a także nieco ambicji i dobrych chęci. A czy może je mieć student „idealny”, ten, który cel studiów widzi w opanowaniu tylko tego materiału, który jest potrzebny do zdania z wynikiem pozytywnym egzaminu? On przecież nie pchał się na uczelnię. To jego siłą popychano. Popychał nauczyciel — polonista w prowincjonalnej szkole, popycha egzaminator podczas wstępnego egzaminu na studia. Postawili na swoim. Nie mamy więc do „idealnego” pretensji. Nie oskarżajcie go, o publiczści. Ja wiem, że nie czyta on „Nowej Kultury” i „Twórczości”, że pisze kompilacyjne referatki, że się nudzi. Cóż go obchodzi może literatura? W wolnych chwilach śpi, czyta „Przekrój”, gra w brydża i narzeka; ach, jest przepracowany. „Idealny” będzie nauczycielem, będzie kształtował upodobania innych. A popychający dźwigić się będą, że w rozumieniu wychowanków „idealnego”, którzy za lat kilka staną przed komisją egzaminacyjną, poezja — to Asnyk i Tetmajer.

Październik 1955.

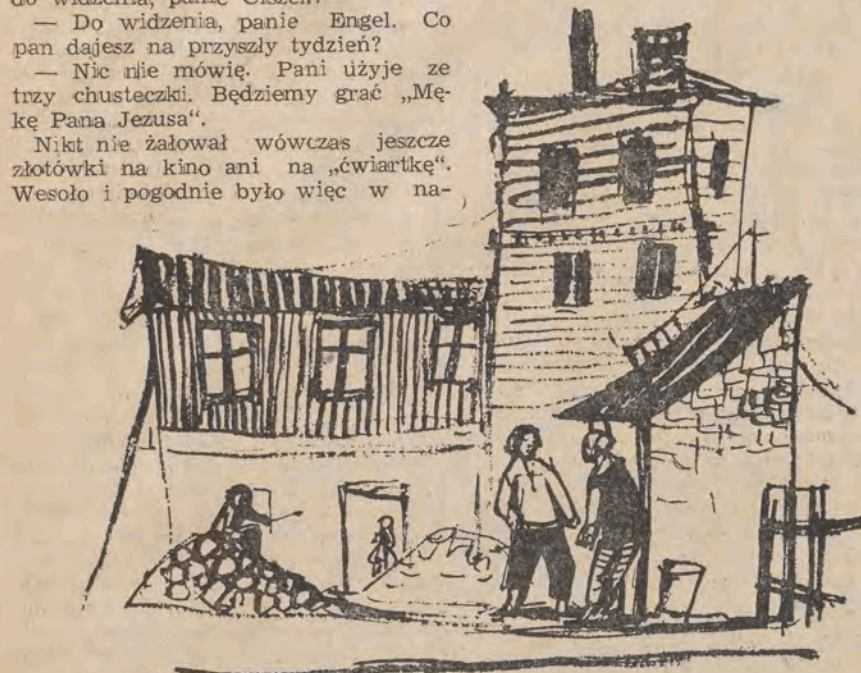
Dwa tygodnie praktyki w szkole. Słucham odpowiedzi uczennic, przeglądám zeszyty, wreszcie: sam prowadzę lekcję. Z nauczaniem literatury w szkole jest źle. To nie jest już dla nikogo tajemnicą. I oto widzę, jak zamyka się błędne koło. Punkt wyjścia — to szkoła. Przed maturzystą otwierają się wrota uczelni — a po latach kilku znów powróci on do szkoły, aby pracować nad wychowaniem tych, którzy być może, wybiorą taki miły kierunek studiów — polonistykę. Ale i ci wrócą, wrócą. I będą uczyć przyszłych studentów filologii...

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

UKAZAŁY SIĘ NOWE, CIEKAWE KSIĄŻKI
W. Zukrowski i J. Przymanowski
DESANT
NA KAMIENNEJ WYSPIE
S. 244 — zł 10.—
W. Machajek
RANO PRZESZEDŁ HURAGAN
S. 306 — zł 9.65
J. Pomianowski
KONIEC I POZĄTEK
S. 128 — zł 4.—
P. Guzy
NOCNY ZRZUT
S. 208 — zł 8.55
E. Herbert
GARSZCZAK
S. 202 — zł 6.40
Wznawienie
L. KRUCZKOWSKI
KORDIAN I CHAM
S. 246 — wyd. XIV —
opr. płóc. — zł 9.—
NAKŁADEM WYDAWNICTWA
MINISTERSTWA
OBRONY NARODOWEJ

KRONIKA 13

3



Rys. W. Kondek

szym domu. Toczyło się pracowite życie mieszkańców, przeplatane uroczystościami rodzinnymi, świętami, kłótniami o klucz do góry czy o siomiankę, skradzioną spod drzewi.

Dorośli byli w fabryce, dzieci na podwórku i na ulicy, starcy na ławkach i stołkach, grzejąc kości na słońcu.

Takie luksusowe życie wiedli mieszkańcy naszego domu do roku 1929, kiedy to w dalekiej Ameryce gazety zamożowały jakiś „czarny plątek”. A niedługo potem w Europie, w Polsce na naszym podwórku zaczął szeleć kryzys. Tysiące ludzi wystawało w ogonkach przed Pośrednictwem Pracy, bez nadziei na otrzymanie zajęcia, chociażby za najędźniejsze wynagrodzenie. Tysiące inteligentów rzucano się łapczywie na „ogłoszenia drobne”, ale coraz krótsze stawały się kolumny z anonasami „wolne posady”, aż znikły zupełnie.

Ponieważ nie było już sensu oszukiwać samego siebie mężczyźni dzielącymi wybiegali się na pobliskich polach, grali w karty na „przytłki w nos”, wynajdywali najbardziej bezsensowne zajęcia gospodarskie, byle zabić czas, a kobiety z troską patrzyły na obdarte i bose pociechy i starały się wiazać koniec z końcem: od jednego pożyczanego garnka kartofli do drugiego. Niekiedy wędrowali na wieś, by tam u rodziny czy krewniaków wybrać lub wypracować trochę maki, jajek lub kartofli. Zmieniły się role: dawniej krewniacy ze wsi z podziwem patrzyli na zarabiających „ciężki pieniądź” krewniaków w mieście, teraz oni przynajmniej mieli zapewniony chleb po wszechni. A i to nie zawsze, bo niebawem kryzys ogarnął „wieś spokojną, wieś wesołą”.

Właściciel domu już od dawna przestał dopominać się o zaległe komornie, a pożyczanie złotówki od sąsiada stawało się niemożliwe. Stracił humor mój ojciec, sprzedając krowę, Mordka Przetacki, a kiedy na domiar zmienił wdzieniec nazwisko i imię na Mordka Dziewczepolski, ludzie orzekli, że i stary Żyd zgubił z tego kryzysu.

Jako tako zarabiał jeszcze koszerne rzeźak Kac, trzymał się fabrykant cukierków Fuchs (roczna produkcja 150 kg) i handlarz starym żelazem Jan Czepiec (cały interes w starym worku na ramionach). Reszta — szkoda mówić — pogrążona była w nędzy i rozpacz. Oczywiście, trafiały się przygodne zarobki. Tak np. mój ojciec stał się na pewien czas „wróbitą z Indii”. Ponieważ odznaczał się silnym, czarnym zarostem wystarczyło, by owiązać głowę ręcznikiem, a wyglądał już jak mistrz wiedzy tajemnej. Kiedy pewnego dnia, uprzedzony zresztą przez sąsiadkę, która spełniała rolę naganiającej, o młotnych zawodach pewnej leciwej byłej kochanki pewnego duchownego, przepowiedział, że jej rywalka zginie jak gąsienica stojąca przed nią świeca (przed tym nasycił w pewnym miejscu knot świecy jakąś substancją, tak, że płomień doszedłszy do tego miejsca musiał zgasnąć), jego powodzenie było na kilka tygodni zapewnione.

Kłakł jeden i powtarzał:

— Żebym, ja psia krewna, tkacz korytów musiał ze siebie małe robić! O świecie, świecie...

Licząc na takie przypadkowe zarobki ludzie zaciągali drobne, złotówkowe pożyczki u jednego bogacza w naszym domu, kontrolera tramwajów miejskich. Procedura operacji kredytowej nie była skomplikowana. Z trzystu prawie złotych (pewno tyle pieniędzy nie mieli) naraz wszyscy lokatorzy, jakie zarabiali ów potentat co miesiąc) jego dzielna małżonka, chorowita, jadłowicie złośliwa i pożądana kobietka, pożyczala kilkadziesiąt złotych na „procent”. Gdy po długich uprzejmościach wstępnych, świadczonych pani kontrolerowej, udało się uprosić 2-złotową pożyczkę, otrzymywało się złotówkę. Druga złotówka; to był z góry spłacony procent. Ponieważ taka jawna lichwa mogłaby wywołać odruch buntu u

Wycinanki

Jak walczące koguty w pokrzywach u płotu
dwa światelka po strapie zabawnie się gonią.
Chcesz swawolące chwycić — już nikną pod dłońią —
znów się jawią w odległym ciemnym kącie stropu.

To dwa srebrzyste ostrza sprężynowych noży,
na które życiodajne złoto słońca kapie,
w rączkach dziewczęcych lekkie, ledwie tknąwszy papier,
wycinają krzak smukły jak leśny jalewiec.

Ciężkoskrzydłe koguty. Przyfruńcie zapłociem
z wszystkich kurpiowskich podwórz w południe niedzielne,
karmazyny czubate i dumą rasowe,

usiadźcie, gdzie eudacne krzaki papierowe
i piecice te rączką drobne jak stokrocie,
co was tworzą ptaszyska — w walce nieśmiertelne.

JERZY KWAPISZ

Leśniczówka

Ze wśród drzew stłoczonych głęboko schowana,
że ją z wsią daleką wąskie ścieżki łączą,
że świergotem ptasim obrasta od rana —
to każdy kto słyszał borów pieśń huczącą,
określi najtrafniej, najściślej odgadnie.
Ale ile prawdy skrył ten obraz na dnie,
jak się tutaj miesza dym z żywicy wonią,
jak tu pod oknami czarne kosy dzwonią —
może snuć opowieść ten, kto tutaj mieszkał,
przystawał o brzasku na zajęczych ścieżkach
i po gąszczach, gdzie wrzos fioletem się pali,
strząsał do koblaki wonne grona malin.

A te grona w ustach topniały najśłodziej
umyte w świerkowej żywicznej pogodzie,
co ją wssały w siebie w leśne parne noce
razem z wonią ziół, aż stały się owocem,
tajemnicą kwiatów, liści i korzeni,
grudką chłodnej ciszy, słodką bajką ziemi.
Zbierałem w splukane rosami poranki
maliny o barwie wczesnej macierzanki,
zanim przy strumieniu na zielonych bukach
dzielił pierwszy werbel po korze odstukał,
nim skrzyp studni zmylił takt drzewnego szumu,
nim młody leśniczy na obchód wyruszył,
nim nad leśniczkę powoli się uniosł
dym kosmaty, jak zajęcze wielkie uszy.

MARIAN PIECHAL

Portret niezbyt prawdziwy

JESLI życie Stowackiego, według własnych jego słów, można przyrównać do poematu, to życie Mickiewicza było jednym burzliwym, niezwykle powikłanym dramatem — za wyjątkiem właśnie okresu, który Aleksander Maliszewski obrał sobie za temat swojej sztuki. Okres „Ballad i romanów” był w życiu młodego Mickiewicza, tuż po skończeniu uniwersytetu i objęciu posady nauczyciela w Kownie, wyjątkowym okresem stosunkowo długotrwałego spokoju i nudy, graniczącej nieledwie z tak modnym ówczesnie bajronicznym spleenem. W jego listach z tego okresu pełno ma to dowodów. Nie mając żadnych silniejszych wrażeń ani podnień w życiu, musiał je młody wieszcz zgodzić z romantyczną modą wymyślać w poezji. Oczywiście, miłość do Maryli i jednocześnie niemal romans poety z Kowską, nie mogły w zupełności zastąpić tego głodu nowych i silnych wrażeń — zwłaszcza w naturze tak niezwykle bogatej, jak Mickiewicz. Ie w ówczesnych skargach miłosnych Mickiewicza było rzeczywistych cierpień, a ile modnej romantycznej pozy — nigdy nikt chyba nie rozstrzygnie. Jedno jest pewne, że jeśli kto wtedy przeżywał istotny dramat z tych dwojga, to napewno nie Mickiewicz. Istotny dramat przeżywała wtedy Maryla.

A jak jest w sztuce Maliszewskiego? Owszem, Maryla przeżywa w niej dramat, ale główny akcent położony został na dramat Mickiewicza z powodu Maryli — i to zwichnęło właściwe proporcje prawdy, zdecydowało o tym, że sztuka przestała być przekonywającą, a słowa głównej postaci, Mickiewicza, jego zachowanie, jego nawet wspaniałe wiersze za brzmiały jako sztucznie, niewspółmiernie do tego, cośmy na scenie zobaczyli.

Nie chodzi tutaj o pewne anachronizmy, jak choćby to np., że pewne osoby, które w owym czasie już nie żyły, deklamują wiersze Mickiewicza, które w owym czasie nie zostały jeszcze napisane (Tekla Stypulkowska) — ale o to, że autor chciał za dużo naraz powiedzieć, że w swojej sztuce tak zagłębił i uzależnił od siebie sprawy, które w owym czasie nie mogły być tak zagęszczane i tak od siebie uzależnione. Za mocno wybił akcenty pewnych spraw i dlatego, jak powiedziałem, zachwiał w widzach wiarę w prawdopodobieństwo.



„Ballady i romanse” w Teatrze im. Jaracza. Reżyseria Leona Łuszczyńskiego, scenografia Ewy Soboltowej. Leokadia Pilarska w roli Franciszki Wereszczakowej, Zbigniew Skowroński w roli Sikory i Emil Karwicz jako Józef Wereszczaka.

Czegóż-bo nie ma w sztuce Maliszewskiego: Mickiewicz, jako ofiara przesądów klasowych, szczęście w miłości uzależnione od pieniędzy (choć przecież temu postaci Maryli, która miała pieniądze i nie była szczęśliwa), prawie że znowa Puttkamera z Nowosilcowem przeciwko postępowej młodzieży wileńskiej, przyjaźń polsko-rosyjska (przez Rukiewicza), Mickiewicz jako trybun ludu i przewidyjący polityk, a przede wszystkim jako już całkowicie ukształtowany w sobie, świadomy swej roli i uznany przez wszystkich Wieszcz Narodu, co w owym czasie (rok 1823) nie było jeszcze tak zupełnie pewne.

Maliszewski chciał za wszelką cenę uspołecznici i upolitycznić swą sztukę. Dlatego obok wątku miłosnego Maryli i Mickiewicza, usiłował wprowadzić wątek społeczny przez postawienie Maryli w roli „sprzedanej narzeczonej”, i wątek polityczny przez wprowadzenie do sztuki osoby Michała Rukiewicza w roli łącznika między młodzieżą wileńską a przyszłymi dekabrystami w Petersburgu. Ale te trzy wątki niejednokrotnie uzyskują ilustrację dramatyczną na scenie. Przede wszystkim, nie są ze sobą dość przekonująco powiązane.

Wątek pierwszy wypełnia sobą cał-

Pani kardynałowa*)

FLERES, si scires unum tua tempora, mensem!
Płakałbyś, gdybyś wiedział,
że życie twe to jeden miesiąc — rozmyślał pobożnie purpurat, książe Kościoła, arcybiskup, prymas Regni Poloniae, kardynał Michał Stefan Radziejowski, zatopiony w modlitwie.

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! — wzdychał i sapał jak miech, objawiając pulpit kłęcznika uściskiem potężnych ramion i zwiesiwszy świejącą głowę. Kłęcznik trzeszczał pod ciężarem zwalistego cielska sługi bożego.

Dwa zdarzenia wstawiły postać prymasa. Za młodu wielki trzpiot i bawidamek, będąc jeszcze kanonikiem warszawskim, zrzucił sukienkę duchowną, wdział świeckie szaty, porwał z domu szesnastoletnią szlachciankę mazowiecką Konstancję Niszczycką i wyjechał z nią do Brabancji.

Miejsce pobytu rzekomych małżonków Radziejowskich zdradziły heretyckie gazety niecnnych kupczyków holenderskich, które to gazety miały we zwyczaj podawać spisy gości cudzoziemskich, zatrzymujących się w oberżach Brabancji.

Owczesny prymas Florian Czartoryski wysłał do Holandii dwóch kanoników, którzy prawie siłą przywieźli lekkomyślną, zakochaną parę do Polski. Tu po wysłuchaniu cierpkich uwag prymasa i króla Jana Sobieskiego młody kandydat na księcia Kościoła przyrzekł zerwać gorszące związki, za co, po wstąpieniu biskupa warmińskiego Wydzgi na stolicę gnieźnieńską, otrzymał święcenia biskupie i zasiadł pod baldachimem w diecezji warmińskiej.

Nie dotrzymał wszakże słowa danego królowi Janowi III i został wierny Konstancji Niszczyckiej. Była to jedyna w całym życiu kardynała namietność, której dochował wiary aż do późnej starości.

Dla upamiętnienia roli Konstancji jako księżki gospodyni wydał ją za mąż

*) Z powieści historycznej „Noc saska” przygotowywanej do druku przez Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej.

za swego dalekiego kuzyna, zaplajaczono starca Jerzego Towiańskiego, który w zamian otrzymał godność podstołego dobrzyńskiego, a następnie wojewody łęczyckiego i zaszczytną funkcję marszałka dworu na dworze arcybiskupim kardynała Radziejowskiego. Nikt, naturalnie, nie wierzył w tę komedię i w całej Rzeczypospolitej nazywano Konstancję Towiańską de domo Niszczycką — panią kardynałową. Ale pozory zostały zachowane i prymasowa familia żyła zgodnie w cieniu purpury kardynalskiej w komnatach zamku arcybiskupiego w Łowiczu, w księstwie łowickim, należącym do każdorazowego prymasa. Nie zawsze wprowadziło zgodni...

Razu pewnego podchmielony marszałek dworu arcybiskupiego usiłował wykorzystać swe formalne uprawnienia i wkroczyć do łóża małżeńskiego pani kardynałowej, za co, z rozkazu prymasa, otrzymał na astrachańskim kobierczyku dziesięć bizunów, po których przeleżał tydzień na brzuchu. Od tego czasu niewczesne zapawy wywierały starcowi z głowy i na zamku arcybiskupim w Łowiczu zapanował spokój.

Drugim zdarzeniem, które wstawiło prymasa Radziejowskiego a ośmieszyło króla Augusta Mocnego tak, że ludzie śmiali się w kułak, była sprawa klejnotów królewskich. Po śmierci króla Jana III spośród wielu kandydatów do tronu dwóch miało największe szanse: francuski książę de Conti i saski elektor Fryderyk August Wetyńczyk.

Prymas popierał z początku kandydata francuskiego. Później, za namową nuncjusza i widząc, że kandydatura księcia de Conti nie ma już żadnych szans, zgodził się udzielić swego poparcia Wetyńczykowi. Uczynił to niechętnie, niejako pod naciskiem nieprzejawnych okoliczności i w zamian zażądał od elekta wysokiej sumy stu tysięcy talarów.

Dwadzieścia pięć tysięcy zostało natychmiast wypłacone gotówką, zaś siedemdziesiąt pięć tysięcy miały być wypłacone na święty Michał. Przewrotny kardynał zażądał zabezpieczenia. Król przysłał mu w zastaw szmaragdy

rzadkiej wielkości. Prymas obejrzał klejnoty i uznawszy je, po naradzie z Konstancją, za mało wartościowe odesłał monarche. August przysłał wielkie diamenty i te, po oszacowaniu, zostały uznane za wystarczające zabezpieczenie sumy siedemdziesięciu pięciu tysięcy talarów i spoczęły w skarbcu kardynała jako zastaw. Dopiero teraz purpura kardynałowska w roli pierwszego w Rzeczypospolitej senatora złożyła hołd nowemu elektowi i ucałowała rękę królewską.

Tak więc zaważyły na decyzji prymasa dobra doczesne ku wielkiemu żalowi niepokieszonej rzeszy wiernych Kościołowi prostaczków, biorących zbyt dosłownie ewangeliczną naukę o bogactwach jako o zawadzie utrudniającej dostąpienie Królestwa Niebieskiego.

Pomimo jednak otrzymania w zastaw tak cennego skarbu, prymas nie lubił Augusta II. Toteż wkroczenie wojsk szwedzkich do Rzeczypospolitej powitał raczej pogodnie, a w każdym razie bez rozpaczy.

Wytworzyła się nowa sytuacja, w której trzeba było zrzeczenie lawirować. Prymas przechadzał się teraz często po komnatach zamku łowickiego, zatopiony w rozmyślnościach.

Przez otwarte okna wpływał upajający zapach czerwcowego, słonecznego dnia, brzęczenie owadów i szum drzew w ogrodzie.

Prymas w czarnej, zapinanej od góry do dołu na małe guziki, pelendranie z obcisłymi rękawami chodząc z opuszczoną na piersi głową i z rękoma założonymi na plecach, młarowym krokiem po komnacie. Było nad czym pomyśleć! Karol XII i jego kandydat na króla polskiego, Leszczyński, przysyłali już parokrotnie swoich posłów na zamek łowicki, usiłując zyskać w osobie kardynała Radziejowskiego stronnika ich polityki. Kardynał doceniał wagę i znaczenie swej osoby, jako prymasa Regni Poloniae, dla zawiązków i rozgrywek politycznych. On, interrex, zastępujący króla w czasie bezkrólewia, był symbolem racji stanu. On, książe Kościoła w tym arcykatolickim kraju, cieszył się najwyższym autorytetem. Ten z dwóch rywalizujących królów, któremu prymas Radziejowski włożył koronę na skronie, zostanie uznany przez naród za prawowitego monarchę.

Nie chciał jednak działać zbyt pochopnie. Nie można przewidzieć, kto ostatecznie wyjdzie zwycięzcą z tych

jątkowej, lecz posag Maryli ratował Puttkamera w jego tarapatach finansowych. Znałca tych spraw, Leonard Podhorski-Okolów, pisze („Realia Mickiewiczowskie”, tom I, str. 184): „Trzeba bowiem wiedzieć, że rozpowszechnione mniemanie jakoby Maryle wydano za hr. Puttkamera głównie w celu podtrzymania mocno nadwątlonej fortuny Wereszczaków, nie zdaje się być uzasadnione. To raczej Puttkamer liczył może między innymi i na to, że dzięki otrzymanej sumie posagowej poprawi opłakany stan swych wysoce zadłużonych majątków rodowych”. W tym świetle stosunek Maryli do Puttkamera i egzaltowany jej związek z Mickiewiczem inaczej się przedstawia. Okazuje się, że Puttkamer, to był dobrowolny wybór Maryli, oparty na trzeźwym obliczeniu i rozsądnej rzeczywistości, podczas gdy Mickiewicz nigdy nie wykroczył poza granicę jej egzaltacji. Dlatego „hrabia Puttkamer — jak pisze Mieczysław Jastrun — o kilka lat starszy od Mickiewicza, były oficer armii napoleońskiej, teraz zamożny obywatel powiatu lidzkiego... nie brał zbyt serio załotów młodego studenta, później nauczyciela z Kowna, ufał Maryli, że nie popełni szaleństwa, ani megalomanii. Okazało się, że się nie pomylił”. Znużona samotnością w ówczesnym tuhanowickim odludziu, podniecona lekturą modnych wtedy powieści sentymentalnych i pierwszych utworów romantycznych, chętnie bawiła się w miłość idealną, niebiańską, której uosobieniem był czuły poeta i kochanek, jakby żywcem z kart powieści czy tomu wierszy wyjęty, Mickiewicz. Ale rozsądek zawsze jednak w końcu zwyciężał. Powtarzała to dalsze współzycie Maryli z Puttkamerem.

Widzimy więc, że surowa rzeczywistość przedstawia się nieco inaczej, niż dramatyczna fikcja zaprezentowana nam przez Maliszewskiego w jego sztuce. Zaś dramat Maryli, która świadomie i dobrowolnie wybrała Puttkamera za męża, to dramat ówczesnej ukształconej sentymentalnie damy między realną miłością ziemską, a egzaltowaną niebiańską. Ale, oczywiście, tego ze sztuki Maliszewskiego w sposób wyraźny i jednoznaczny odczytać nie podobna. Zarysowuje się ten problem mgławicowo w następnych akcie, ale bardzo nie zdecydowanie i niejako na marginesie tego wszystkiego, co się w tym akcie dzieje. A dzieje się w nim, w sensie dramatycznym, bardzo niewiele.

W intencji autora akt ten miał ilustrować wygasanie wątku erotycznego, a wzrastanie politycznego. Jednak dzieje się to bez wyraźnego uwarunkowania. Wątek polityczny tego aktu nie wynika z przesłanek aktu pierwszego. Akt pierwszy zapowiadał jakąś robotę, jakąś akcję społeczno-polityczną, lecz antyrewolucyjną Józefa

Wereszczaka i Puttkamera. W drugim akcie jej nie widzimy, bo działalność Mickiewicza i jego przyjaciół nie ma z tamtą akcją nic wspólnego. Ale może w akcie trzecim aresztowanie Mickiewicza i patriotycznej, rewolucyjnej młodzieży wileńskiej jest spowodowane ową równie patriotyczną, lecz kontrewolucyjną działalnością Józefa Wereszczaka i Puttkamera, zapowiadaną w akcie pierwszym? Wychodziłoby więc na to, że sprawcą aresztowania Mickiewicza w akcie trzecim jest Puttkamer i starszy brat Maryli, co jest nie do przyjęcia, bo zbyt jaskrawo przeczy rzeczywistości.

Wątek polityczny w drugim akcie nie nie, ma zatem wspólnego z wątkiem miłosnym, podobnie zresztą, jak i w akcie trzecim. Wątek ten nie tworzy żadnej akcji dramatycznej, jest wyłącznie wątkiem statycznym. A ponieważ i wątek miłosny w dwóch następnych aktach nie tworzy żadnej akcji, żadnego przebiegu dramatycznego, w sztuce nie się właściwie, prócz gadania, nie dzieje.

W sztuce konsekwentnie zbudowanej powinno się mówić tylko o tym, co się na scenie przed oczami widzów dzieje, albo o tym, co się dzieje za sceną, ale co wpływa natychmiast i widocznie na to, co się dzieje lub ma dzieć na scenie. W akcie II i III „Ballad i romanów” mówi się wiele o tym, co się dzieje za sceną, ale bez widocznego wpływu na to, co się następnie dzieje na scenie. W akcie I zjawia się u Mickiewicza Maryla po to, żeby stwierdzić, że nie może opuścić Puttkamera. Ma to w intencji autora pogłębić dramat Mickiewicza. W jego oczach obciąża Maryle związek z Puttkamerem. Tymczasem przedtem widzieliśmy na scenie doktora Kowską „kowieńską Wenerę”, która w niedwuznaczny sposób obciąża w oczach Maryli Mickiewicza. Szanse między kochankami są więc obustronnie wyrównane. Maryla romantycznie kochała Adama, a realnie w odwodzie miała Puttkamera, zaś Mickiewicz romantycznie kochał Marylę, zaś realnie w odwodzie miał wielce mu sposobną Kowską. Czyżże tu większy dramat? Chyba Maryli, bo Mickiewicz na swe pocieszenie ma to, że staje się męczennikiem za sprawę młodzieży, nieledwie bohaterem narodowym. W wirze nadchodzących wydarzeń politycznych może zagłuszyć w sobie ból zawodu miłosnego i zyskać w działalności publicznej rekompensatę i odprężenie psychiczne. A Maryla? Wraca do Bolcienika, majątku męża, skazana na nudę morderczej samotności i torturę wspomnień o minionych rozkoszach miłości niebiańskiej.

Tak więc wbrew intencji autora w akcie II i III pogłębia się nie dramat Mickiewicza, lecz dramat Maryli. Owszem, komplikują się powikłania życiowe Mickiewicza, ale to jeszcze nie dramat. Nowe postacie występujące w II i III akcie sztuki — Zan, Czezoł, Ru-

sporów i walk, August II czy Stanisław Leszczyński? Najlepiej byłoby nie wiazać się i próbować wyjechać w górę na koniu polityki własnej. Ale czy to się uda?

Zastukano do drzwi. Do komnaty wsunął się boczklem, wystraszony marszałek dworu.

— Trutniu! Błaźnie! Wydmuknu! Stara księżniczka! — sygnął księżę Kościółca, wyzwałkami na widok imię Towiańskiego. — Znow schlał się acan wczoraj jak świni, i to gdzie? W sochaczewskim szynku! Też mi miejsce, godne marszałka dworu arcybiskupiego!

Chude, starcze nogi marszałkowskie w białych pończochach i czerwonych portkach z adamaszku trzęsły się ze strachu, wprawiając w drżenie całą, zgietą w służalczym ukłonie, postać.

— Mało tego! — huczał stentorowym głosem kardynał. — Nie dość, żeś acan się schlał, toś jeszcze herezje wykonywał!

Do komnaty wsunął się kamerdyner prymasa, Le Camus w obcisłym, szmerowanym superwieście, a za kamerdynerem wśliznęła się Konstancja w domowej obszernej huzare z błękitnego jedwabiu w żółte desenie.

— Co się stało, Camus? — zmarszczył gniewnie brwi prymas.

Kamerdyner w milczeniu i z godnością zamknął bez pośpiechu okno, po czym sklonił głowę: — Excusez, Votre Excellence! Tout le monde Vous entend dans le jardin.

Skłoniwszy się raz jeszcze, wyszedł majestatycznym krokiem z komnaty.

— Herezje! — powtórzył ciszej kardynał.

Marszałek sięgnął pamięcią do mile spędzonych godzin w zacisnym alkie-rzyczu sochaczewskiej oberży, gdzie współ z wojskim przedeckim i podsejdem rawskim raczyli się przy-ciężką małmazją, lecz nie złego przypo-mnieć sobie nie mógł. — Nic nie pamię-tam, ekscelencjo! — wyrzekł zalek-niony.

— Acan nie pamiętasz! Ale byli ta-cy, którzy słyszeli, jak acan wrzeszczał: „Vivat Augustus Rex!”. Za ta-kie słowa godziłoby się położyć acana na kobierczyku. Precz!

Konstancja załamała upierścienione ręce.

Marszałek zgiety wpół wycofywał się w ukłonach.

Konstancja podeszła do małżonka. — Michel! Michel! — wdychała omdle-wajaco. — Oh, mon Dieu!

Kardynał spojrział z ukosa na nie-wiaście. Nigdy nie wiedział, kiedy koń-czy się u Konstancji gra i pozor, a kie-dy trzeba podawać sole trzeźwiące. Ślady dawnej piękności nie zeszły jeszcze z wypiełgnowanej twarzyczki o żywych, błyszczących oczach i soczy-tych, czerwonych wargach, między którymi błyszczący zwał, lśniąca zę-by.

Książe Kościółca poczuł przypływ po-żądania i przygarnął Konstancję do łona. — Wiem, wiem już, co mi po-wiesz — syczał przy tym przez za-ciśnięte zęby. Szczęki zwały mł się w spazmie pragnienia miłosnego. — Byłaś i jesteś moim pokuszeniem i zgubą. Boże, bądź miłościwi! — wznioł o-czy do nieba i ukradkiem, niewowo położył na piersi znak krzyża. Robił to zwykle przed każdym zbliżeniem z Kumdzą. — Kobięto, zrozum! — za-wołał nagle wielkim głosem. — Oni mnie okrzyknęli zdrajcą.

— Kto? Kto? — zboliałym szeptem spytała pani kardynałowa.

— Tamci, na sejmie lubelskim pod egidą Augusta! Wyrugowali z sali sejmowej posłów wielkopolskich, stronni-ków Leszczyńskiego, i okrzyknęli mnie zdrajcą. Mnie, prymasa! Zginałem z krete-sem tak na honorze, jak i na for-tunie — sapnął prymas. — Pomimo, żeś jeszcze palcem nie kiwnął ani za Karolem XII ani za Leszczyńskim.

Przyciskając ręce do piersi, falują-cych pod błękitnym jedwabiem hazu-ki, Konstancja tuliła się do kardyna-ła. — Nigdy się na to nie zgodzę, ni-gdy na to nie pozwolę — szeptała na-miętym głosem, z egzaltacją. — Nie zgodzę się, żeby Leszczyński został królem. Nigdy!

Tupnęła obcasem pantofelka.

— Jego matka — zachłystując się gniewem, pasją, oburzeniem syczała pani Konstancja. — Jego matka, kie-dym się z nią chciała przywitać, uda-ła, że mnie nie widzi!

Prymas odepchnął lekko „żonę” od siebie. Pożądanie wygasło. — Gdzie to było? Kiedy? — wypytował z niedo-wierzaniem.

— W kruchcie, w kościele ojców mi-sjonarzy Świętego Krzyża.

Kardynał zagłębił się w foteli i za-kręcił twarz białymi, wypiełgnowany-mi rękami. — Boże, bądź miłościwi! — mamrotało pobożnie. — Boże, bądź mi-łościwi! — Gdybym mógł wiedzieć, kto mój wróg, a kto przyjaciel! Sas czy las?

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Zerknęła koso na Płonkę. — A prze-cież Janice starali się jak mogli. Sama słyszałam, jak lekarz ze Stopnicy po-wiadał Kłuzniakowej, że już wszystko stracone, że go nie nie uratuje, a prze-cież wysłali go do Kielc. Jakże staranie tam miał, ilu lekarzy chodziło koło nie-go, ile zastrzyków wziął, to nikt nie zliczy! Żeby chociaż ludzie nie gada-li marnych słów! — „Złych języków nie po-wstrzyma od gadania. Na głupotę nie ma leku” — powiedział Zastawka, który siedział obok Janica. „Po cóż słowa? Prawda mówi za siebie” — rzekł kościelny, niski, kwadratowy, z wielkimi wąsami, które już zaczynały siwieć. Kościelny lubił i umiał w sposób zręcz-ny formułować swoje myśli.

Umilkli wszyscy, jedząc powoli chleb z kielbasą. Wachowa odezwała się zno-wu z westchnieniem: „Piękny miał po-grzeb!” Zaraz się odezwały potakujące głosy: „Zasłużył na to”. „I stary ksiądz zjechał!” „No, bo i Władek narobił się koło plebanii, narobił. Wszystko było na jego głowie — zaczął wychwalać zmarłego Zastawka. — O wszystkim pamiętał. Ksiądz mógł spać spokojnie. Ufał mu więcej niż rodzonemu bratu. Ja tobie, Władziu, wszystko powierzę



Rys. S. Fijałkowski

— powiedział. — Zostawił mu klucze na-wet od szaf! — „Piękną mowę wygłosił proboszcz!” — stwierdził kościelny ki-wając głową na wszystkie strony w podziwie. — Ale bo Władek zasłużył sobie na nią!” „Ludzie zazdrośni — zachrypiał dziadek Michał, którego z powodu niskiego wzrostu mało co było widać zza stołu. — Widzieliście, jak Grójczyk się krzywił? Nie mógł znieść tej parady. Sam pochował matkę, jak ostatnią dziadówkę. Nawet pokropku nie chciał”. „Powinien się cieszyć — odparł kościelny. — Ksiądz mówił po jego myśli. Ładnie to wykazał o tych hrabiach i pułkownikach”. „Nie mogłam bardzo wyrozumić — zwierzała się cicho ciotka Wachowa. — Gadanie ma ładne, o Władku prawdę powie-dział, ale co z tymi hrabiami?” „To dla partyjnych. Nie widzieliście to Sere-maka i Grójczyka? Myny mieli, jakby ich octem pojono — pouczył kościelny. — Ksiądz musi się nieraz tak trzępać, jak wróbel na szpagacie. Aż żal pa-trzeć. Chodzi do późnej nocy w swoim pokoju i medytuje. Strach, co się na-myśli!”

Przez ten cały czas Urszula nie brała udziału w rozmowie. Zaledwie umo-czyła wargi w kieliszku. W rękę trzy-mała ten sam kawałek chleba, którym ją poczęstował na początku. Obecni też zdawali się jej nie zauważać. Padło czasami słowo, po którym Urszula czerwieniła się, pochylała głowę nisko — domyślałem się, że musiały ją nur-tować przykre myśli. Brat Janica od czasu do czasu powtarzał: „Będą tacy, co się ucieszą ze śmierci Władka”. Janicowa tylko wdychała, zaś na twarz Urszuli występowały wtedy ceglaste plamy. Skorzystała z pierwszej okazji i wyszła.

Dopiero po jej odejściu ludziom roz-wiazały się języki. Zrozumiałem wre-szcie całą moją niezręczność. Okazało się, że dziewczyna zjawiała się w Zapoli-ach tego lata, była sama, bo matka jej umarła podczas wojny, a siostra zginęła w Majdanku. Przyjechała upo-minać się o gospodarkę. Twierdziła, że Janic nie kupił ziemi, a tylko wy-dzierżawił i to za lichę pieniądze, że matka nie miała prawa rozporządzać się gospodarką, gdyż ziemia była za-pisana na ojca, a nie na nią, że nie było w tej mierze żadnego testamentu, co poświadczyć może Izidor Słiwiec, który jest jej opiekunem. Janice oczy-wiście nie chcieli słyszeć o podobnej niesprawiedliwości i zapowiedzieli, że nie oddadzą ani jednego ara. Podobno Majówna służyła po wojnie u jakiegoś adwokata w Kielcach, który ją po-uczył, co ma robić i jak się kierować, żeby sprawę wygrać. „Słyszeliśmy, że już była w sądzie i to na krótko przed śmiercią Władka”. Ktoś, zdaje się, że bratowa Janica, korzystając z chwilo-wej nieobecności gospodarza, który wy-szedł do krów, powiedziała: „Majówna nie przebiera w środkach, aby Janiców i Kłuzniaków puścić z torbami”.

Usłyszawszy to zerwałem się gwał-townie. — Czyż to możliwe? — zawo-łałem. Nie miałem wątpliwości, że za-szło tu jakieś nieporozumienie. Znając wieś i zawiści ludzkie, domyślałem się, że krokami Urszuli musiała kierować czyjaś ręka, której zależało na tej zwa-dzie czy też, jak kto woli, na zgubie Janiców. O ile zdążyłem się zoriento-wać, zjawilem się w Zapolicach w tej chwili, kiedy stosunki zawiąły się i zaogniły do tego stopnia, że nie można już było rozwiązać sporu inaczej, jak drogą sądową.

Przekonałem się o tym niedługo, roz-

Dziedzictwo

(Dokończenie ze str. 1)

mawiając z Grójczykiem. Musiałem przejść przez jego podwórze skracając sobie drogę do Zastawki, u którego spodziewałem się zastać Urszulę. Grój-czyk zwał ostatnią furę ziemniaków do piwnicy. Pomagał mu przy tym chudy wyrostek, tak samo jak i on obda-rzony dość wydatnym nosem. Grójczyk zagarnął kilka razy szufłą po ziemi po-czym rzekł do chłopaka: „Ano, uprzą-nij resztę”. Odszedł ze mną na bok, usiadł na zwałonym pniu, odetchnął.

Zapytałem o Urszulę. Skrzywił tylko wargi. Rzuciłem się — czyżby sądził, że ta sprawa nie powinna go obcho-dzić? Odparł, że ma wiele ważniejszych kłopotów. — „Ot, sąszą głowę, że spół-noty nie ma!” „A Janic?” — podpowie-działem. — Nie trzeba z nimi pomówić?” „Co? Ja z nimi? Pomówić? — uniósł się. — Jakbym miał z nimi gadać, to wolę ze swoją kobyłą. Bo co jej po-wiem, to nikomu nie powtórz. A tam-ci? Rozniosą zaraz, że partia bierze ich

mało kto wiedział. Dziad kościelny Mi-chał tłumaczył: „Taki Fikus — mikus, ciągnie do siebie, jak sekwestrator!”. W roku 47 chłopci wysłali Zastawkę do Warszawy. Chodziło o umorzenie dłu-gów hipotecznych pozostających — o ile pamiętam — w związku z przedwo-jennej parcelacją. Zastawka wybrał się do Warszawy w najgorszym ubraniu, nawet nie swoim, ale pożyczonym i tak potrafił wzruszyć dyrektorów i urzęd-ników ministerstwa opisem nędzy, w jakiej żyją chłopci zapolicey i w ogóle na całym przyczółku sandomierskim, że natychmiast wysłano tam komisję rządową i długi umorzono. Zastawka chwalił się, że i „on płakał i samemu ministrowi lzy ciurkały po policzku”. Jak oprowadzał chłopci komisję po wsi, gdzie samochód mógł dojechać, a gdzie nie — to osobny rozdział.

Zastawkowie przyjęli mnie więcej niż wylewnie. Zaproszono zaraz do środka, stary, zażywny gospodarz posadził przy stole, na którym nie wiadomo kiedy i skąd pojawiła się pękata karafka. Za-stawka ogólnie żałował Władka. „Cóż robić! On był całym gospodarzem. Janic tylko umiał gadać. Teraz popła-czą sobie”. Wiedział już, że odwiedzi-łem Grójczyka; delikatnie wypominał, że on sam jest dopiero w drugiej ko-lejności. Wydał o Grójczyku krótki osąd: „Do sprawy polityki — mówił — Grójczyk jest dobry, nie można powie-dzieć. Winni być zadowoleni z takiego sekretarza, lecz, prawdę powiedzieć, brak mu podchodzenia do ludzi. Nie potrafi tego...”. Przerwał i spojrzął na mnie ciepło, zrobił przy tym taką minę, jakby chciał rzec: „A co? Zgadłem? Stary Zastawka niejedno widział!” Ale nie odpowiedziałem na tę zaczepkę. Na-lał w kieliszki i przepijając moje zdro-wie wyjaśniał dalej tym samym tonem, że głupio jest nierzyc innych ludzi, nie wiedząc, co o nim kto myśli. Ale co ma na sercu, to powie. Grójczyk wyda-je mu się dobrym człowiekiem. „Choć nosza żadziera i w tego Marksa wy-rzy, ale ludziom nie szkodzi. Poreszcie, szpokojna wieś jest, tyle co ostatnio sz tymi Janicami...”

Wszystko to było ciekawe i Zastaw-ka wiedział, że interesują mnie jego wypowiedzi. Okazywałem mu wiele u-przejmości, rozmowę jednak zwraca-łem przeważnie do Urszuli. „Fiskał!” żywo zaprzeczył, gdy próbowałem o-kreślić jego stosunek do dziewczyny. „Nie, nie służąca, broń Boże, ale prze-sięć musi coś robić, żeby z nudów nie umrzeć. Będzie to jadła chleb darmo? Gdyby tak chciała, to bym jej nie dał! Szama się rwie do roboty”. „No — rze-klęm — musi tak grać, jak jej każe-cie. U was jest, nie u siebie”. „Gdzie pan hardy, tam chleb twardy — niby potwierdził — ale mnie to nie tyczy. U mnie jest, tak, przecież mam wyro-zumienie dla sieroczej sprawy. Nikt jej nie przyjął, nawet Słiwiec, bo nie chce się kłócić z Janicami. A mnie ta, plusz minusz, wszystko jedno. Nad gro-bem stoję. Zapisze mi to kto, dobrze, nie zapisze, niech i tak będzie”. Niedłu-go zeszło, a usłyszałem: „Czo do Ur-szuli, to sprawa jest kompetentna”. Tłumaczył dalej pewnym głosem, że dziewczyna musi odebrać gospodarkę. „Zanim... te... tego, to jeszcze można ładnych parę lat pożyć ze swojej zie-mi”.

Wyszedłem od Fiskała późnym wie-czorem. Janic czekał na mnie przy furtce; w obejściu przesunęła się cicho jak cień ciotka Wachowa; reszta do-mowników przemęczona całodziennymi wrażeniami, spała już. Cicho było, pu-sto. Zarzył się w ciemności gruby o-gienek papierosa. Janic mruknął nie-przestając palić: „Ksiądz tu był, cze-kał na was”. „O!” — zdziwiłem się. „Przyszedł wieczorem, chciał pogadać trochę, pocieszyć, markotno mu było, że was nie zastał... Bardzo żałował...”. „I pocieszył?” — zapytałem niedorzecz-nie. Ogieńek rozżarzył się mocniej. Na-stąpiło milczenie przerywane niespo-kojnymi ruchami bytła w chlewie. „No i co? Jak sprawa?” — zapytałem. „Po-radzić sobie muszę — odparł. — Ciężko będzie, bo para rąk ubywa... Ale że-bym diabła do pomocy wezwał, to się stąd nie rusze, nie rusze...”

Zaprowadził mnie do pokoju, w któ-rym spisał Władek, wskazał posłanie, powiedział cicho: „Dobranoc!” i poszedł. Konflikt jest — myślałem rozbiurając się — a jakie! Niewątpliwie trzeba mi śledzić dalej tę historię. Ale co? Gdy-by ktoś zapytał: „Co słysząc w Zapoli-cach?” Jaką usłyszałyby odpowiedzi? Zdarzyło się nieszczeście! Kłuzniak u-marł; przyjechała dziewczyna po swo-ją ziemię — nie doznaje nigdzie pomo-cy, znajduje w Zastawce-Fiskału swo-jego patrona. Janic zasklepiony jest w swoich tarapatach i siedzi jak pod kojem, wybierając kto lepiej mu się przysłuży: ksiądz czy Grójczyk. Ludzie chodzą luzem, nie widzą szerokiego świata. Cicho! Wieś Zapolice spi. Po-snęli zmordowani gospodarze. Zastaw-ka przewraca się z boku na bok i jęczy z przejedzenia. Urszula chowa mokra, zroszona łzami twarz w poduszce. Janic pali papierosa i patrzy nieruchomo w sufit. Kłuzniakowa poplakała przez sen. Wachowa zwinęła się w kłębek jak dziecko i śni o dawnym gospodaro-waniu. A co Grójczyk, o czym myśli Grójczyk? Trzeba poznać bliżej czło-wieka, żeby wydać o nim sprawiedliwy sąd. Towarzyszu Grójczyk — przy-patrzmy się bliżej Zapolicom, wejdźmy między ludzi, poznamy nasze dzie-dzictwo — codzienne sprawy Majów, Janiców, Słiwców.

TADEUSZ PAPIER

KRONIKA 13

5

kiewicz i Kowalska — nie przedstawia-ją sobą żadnego interesu dramatyczne-go, są statyczne od początku do końca. Ich rola polega jedynie na gadaniu, a nie na działaniu.

A jednak, mimo tych poważnych, za-sadniczych braków, sztuka Maliszew-skiego robi w teatrze tzw. wrażenie. Powoduje to doskonały akt pierwszy, a podtrzymuje w następnych — zdecy-dowanie słabych — sugestia (co tu du-żo gadać) fikcyjnej osoby Mickiewicza.

Teatr im. Stefana Jaracza nie zasko-dził sztuce Aleksandra Maliszewskiego, ale i nie pomógł. Inscenizacja i reżyse-ria Leona Łuszczewskiego poszła w kierunku maksymalnej wierności dla teatru autora, co słuszne było tylko w odniesieniu do aktu I sztuki — w po-zostałych dwóch aktach można było pójść na daleko idące modyfikacje, przytłu-miając niektóre dłuższy teksty na rzecz większej ekspozycji tego co się dzieje za sceną.

Z wykonawców na pierwszym miejs-cu postawić należy Leokadię Piłarską w roli matki Maryli i Konrada Łaszew-skiego w roli Puttkamera. Pierwsza była bezradna i ciągle zatruwona o los wszystkich, a przede wszystkim Maryli, nie zdając sobie w zupełności sprawy ani z istotnych uczuć córki, ani z intryg, snutych około jej zameśnięcia. Drugi zaś reprezentował nerwową żywość pod sztywną maską chłodu opanowanego wielkoświatowca. Dobrze też były, każda inna i w swoim rodzaju, Hana Winczewska-Brochocka i Zofia Mo-licka w rolach Tekluni Stypułkowskiej i Rozalki. Natomiast Marii Kozierskiej nie udało się stworzyć „kowieńskiej Wenery”, pełnokrwistej i tak kuszącej, że aż młocącej w głowie pocziwemu Czezołowi, wychowanemu na mleku i wodzie, zwłaszcza, że postać Czezoła, odtworzona przez Jerzego Szpunara, na-leży do najlepszych w tej sztuce. Nie jednak ze swoich statycznych, z winy autora, ról nie mogli wydobyć Czesław Przybyła jako Zan i Zbigniew Józefo-wicz jako Michał Rukiewicz. Już w sześciu innych pozycjach byli Roman Stan-kiewicz i Emil Karewicz w rolach braci Maryli, Michała i Józefa, bo brali udział w prawdziwym dramacie aktu pierw-

szego. Za to naprawdę źle zarówno z winy autora jak i reżysera wypadli w rolach Adama i Maryli Jerzy Walczak i Zofia Perczyńska. Mickiewicz w pierwszym akcie rozbawiony beztrosko młody byczek, a potem zaszpeiony nagle i obrażony rezolut, w następnych ak-tach nieustępliwy i zacięty w osobistej obrazie statysta, na zimno zdążający do własnych górnych celów, w których osiągnięciu Maryla raczej by mu przeszkadzała. Natomiast Maryla od począt-ku do końca, przez całe trzy akty, pla-cze i lamentuje przy każdym zetknię-ciu z Mickiewiczem, przy jednoczesnym uporczywym trzymaniu się Puttkamera, co usprawiedliwia w zupełności zdener-owanie i dość impertynencje wobec niej „wariactwa” Mickiewicza.

Są dwie epizodyczne sceny, które na chwilę przerywają tę nieznosną mono-tonię obu głównych postaci w ostatnich dwóch aktach: wzruszający moment w zakończeniu II aktu, kiedy Mickiewicz ofiarowuje zachwyconej jej wierszami Rozalce, świeżo wydany tom „Ballad i romansów” i zakończenie rozmowy Maryli z Karoliną z III aktu, kiedy je-dna zostawia dla Adama tom Byrona, a druga komplet ciepłej bielizny — jako dowody swych uczuć. Te doskonałe skróty sceniczne, pełne wymowy dra-matycznej, zastępujące długie tytrady charakterystyk słownych Adama, Mary-li i Karoliny, ratują dwa ostatnie akty sztuki Maliszewskiego w naszych o-czach, przywracając częściowo ich sce-niczny sens i pozwalając przeżyć jego sztukę jako jednolitą, choć bardzo nie-równomierną, całość. Należyte wyeks-ponowanie tych dwóch momentów, to zasługa zarówno reżysera, jak i przez odpowiednie ich wygranie wykonaw-czyń ról Rozalki, Kowalskiej i Maryli.

Oprawa sceniczna Ewy Soboltowej — stosowna.

Surowość tej recenzji niech usprawie-dliwi wzgląd, że jest to sztuka o Mickie-wiczu, sztuka rocznicowa, a jej auto-rem jest doświadczony twórca znako-mitej, pełnej czaru i subtelności, sztuki o Janie Kochanowskim — „Droga do Czarnolasu”.

MARIAN PIECHAŁ

JERZY MILLER

Nieszczęścia własne dają nam odczuć nieszczęścia cudze. Już na czyjś głos: — pomóżcie nam, pomóżcie dobry ludzie! — nie kryję się w złoconych drzwiach świątyni intelektu — nie marzę też o przyszłych dniach bezbłędnych architektów, lecz spieszę tam, skąd krzywdy krzyk dobywa się na ziemię — i gwałcę nieraz składni szyk, byleby nie być niemy.

Trzydzieści lat poezji*)



Fot. Dorys

NAZWISKO Stanisława Czernika kojarzy się każdemu konsumentowi poezji z autentyzmem, ambitym w swoich założeniach ruchem poetyckim międzywojennego dwudziestolecia, ruchem, który zamierzał zorganizować front przeciwko Skamandrowi i awangardzie. Patozowi, stylizacji i deklamatorstwu pierwszego przeciwstawiał (w teorii) umiar i prawdę przeżycia wewnętrznego, koncepcjom urbanistycznym drugiego, wartości ruretyczne, swojskie, narodowe, plebienne.

Stanisław Czernik był teoretykiem tego ruchu. Ważne jednak w ostatecznym rachunku są nie teoretyki i nie programy lecz rzeczywiste osiągnięcia artystyczne.

Poeta debiutował w 1923 r. zbiorem „Drabina do gwiazd”. W tymże 1923 r. napisał utwór dramatyczny „Dzień przed żniwami”, który przeleżał długie lata w biurku poety. Następnie Czernik, z powodów niżej podpisane, nieznanych, popada w długi dziesięcioletni okres milczenia. „Drabina do gwiazd”, która w 1931 roku weszła w skład „Poezji” uzyskała nagrodę na konkursie literackim im. Gabrieli Zapolskiej we Lwowie. Krytyka mówiła o „samorodnym realizmie” w tematach wiejskich, o „głębokiej łączności z podglebiem”, o „krzepkim wyłanianiu się z gnuśnych piachów ziemi”, o „nieogładaniu się na nikogo” w zakresie formy. W skład jury konkursowego wchodził sam Karol Irzykowski.

Wiersze Stanisława Czernika do roku 1939 stały pod znakiem wyłączności tematyki wiejskiej. Była to poezja krajoznawstwa wiejskiego, poezja kultu prowincji i jej naturalnych atrybutów. Z problematyką społeczną spotykamy się tu rzadko („Sentymentalizm”).

Czernik sięgał do poetyki baśni nie markując jednak, że stosuje ją umownie. Bryły węgla tęskniły w zimowy wieczór do pustych wygasłych pieców, błękitna nafta więziona w cysternach tęskniła do chłopskiej lampki, a biała sól do zmarzniętych, słodkawy ziemniaków. Nonsens poety w ramach konwencji baśni musiał prowadzić do fałszów artystycznych, do sztucznego humanizowania świata flory i fauny.

*) Stanisław Czernik „Z trzydziestu lat”, „Czytelnik” 1955 r.

W „Przyjaźni z ziemią” autor programowo zamknął się w kręgu realiów życia wiejskiego i obrazu. Materia poetycka tych wierszy to ugor, brudny, wóz, plug, stara zapomniana słoma, kartofliśko, burak cukrowy, do którego autor w tym czasie wykazywał szczególne predykcje itp. realia. W reprezentatywnym dla tego okresu wierszu „Ziemia” znajdujemy poetyckie wyznaczenie wiary. Poeta chciał się utożsamić z ziemią, chciał „zginąć w odludnym ugorze”, „wstrzyknąć w żrenicę zleloność i ramionami przylgnąć do brudu”, „drzenie listków wpadało mu w oczy jak skrzydełka much”, mówił o ziemi cierpiącej. Uchwyciliśmy tu jedną cechę poetyki Czernika: fizjologiczne reagowanie na zjawiska. Oczywiście, nie da się zrekonstruować obrazu przedwojennej wsi przy pomocy realiów Czernika. Sam autor odczuł się obecnie od starej, fałszywej koncepcji wsi — skazując na zapomnienie „Chate” i „Bielenie ścian” — które to wiersze były ideologiczną konsekwencją postawy artystycznej autentyzmu. Zachowane w wyborze wiersze to poezja prac rolnych, szkice pejzażu prowincji, o której szczególnej wartości był niegdyś poeta przekonany. Idealizował trud fizyczny, plug, kosę, poetyzował pszenicę, a nawet przechodził do mitologizacji prymitywnych narzędzi produkcyjnych wsi (ten zabieg szczególnie uwidocznił się w wierszu „Jan i Andrzej” ze zbioru „Siedem nocy”). Ujawnia się wtedy wyraźnie mitologiczny charakter niektórych rekwizytów bytowania wiejskiego, np. wozu, który jest tak dalece odrealniony, że jest czymś więcej niż symbolem, jest nieświeżym platonowską ideą wozu. Gdybyśmy szukali wiejskiego odpowiednika poezji prac rolnych, to prawdopodobnie trzeba by sięgnąć do Mieczysława Brauna „Rzemiosł” i „Przemysłów”, z tym zastrzeżeniem, że wiersze Czernika są znacznie ambityniejsze i po prostu lepsze.

Lata wojny i przymusowej tułaczki wniosły pewne urozmaicenie tematyczne i rozbiły opłotki dotychczasowej poetyki. Ciekawe osiągnięcia z tych lat to „Listy z okrętu”, „Nie mieszkam tu wcale”, fragmenty „Cykad wśród Uedu”, „Szpital wśród puszczy” i „Skowronek na Saharze”. Ten ostatni wiersz jest interesującym dokumentem kontynuacji romantyków a zwłaszcza Słowackiego.

Poezja przeżyć emigracyjnych tematyki wiejskiej na ogół nie dotyka. Nie jest to poezja zagadnieńowa, chociaż niekiedy pojawiają się próby refleksji filozoficznych, jak np. w „Lesie odwrotu”, gdzie poeta zatrzymując się nad tragicznym wzmianem zestawia kłeskę ludzi z obojętnością przyrody.

Stanisław Czernik — teoretyk podkreślał, że rodowód autentyzmu jest całkowicie swojski i że jest to chyba pierwszy w Polsce kierunek poetycki „wyprodukowany w kraju”. W perspektywie trzydziestu lat widać, jak niebezpieczny był postulat „jedyności ujęć formalnych”, jak pełna zasadzek była koncepcja odcięcia się od wszelkich wzorów zagranicznych. Jakże były konsekwencje tej postawy?

Przemieszczenie stylów i zdanie się na własną intuicję artystyczną, która

nie zawsze okazywała się dobrą busolą. Wreszcie korzystanie z zagranicy pośrednie, „z drugiej ręki”. Chyba raczej miał Karol Irzykowski, kiedy pisał o tym, że dla nas rozstrzygnięcia artystyczne zapadały — w dwudziestolecie — za granicą.

Stanisław Czernik wypracował sobie jednak własny styl poetycki. Szukał go u Czechowicza, Przybosa, Norwida, Mickiewicza, Leśmiana, niekiedy, ale rzadko, u skamandrytów, a ostatnio w poezji ludowej, co przyniosło piękny wiersz „Nie spiesz się słońce”.

Czechowicz zaważył w pierwszej fazie rozwoju raczej na układzie, szeregowaniu obrazów, na pseudo-romantycznym nastroju niektórych wierszy. Leśmian dał znać o sobie w „Szpitalu wśród puszczy” i w „Balladzie o meżach jenieckich” w zakresie wersyfikacji i obrazowania. Przybós wpłynął częściowo na budowę metafor.

Z biegiem lat Czernik oddalał się od pozycji wyjściowych, awangardowych, wycofując się do romantyków. Od romantyków niewątpliwie pochodził pasja wypowiedzenia wszystkiego do końca przechodząca czasami w wielosłowie. Teoria przemilczeń Norwida nie dotarła do tej poezji, chociaż Norwida słychać tu niekiedy.

„Legenda zdrażanego wojska” to już całkowita rezygnacja z koncepcji postawianych w „Drabinie do gwiazd”. Jest to jakby esencja Mickiewicza. W wersyfikacji, stosowaniu pełnych rymów, również gramatycznych, słownictwie tak reprezentatywnym dla „Pana Tadeusza” (np. epitet „ostatni”), w obrazowaniu (apostrofa do drzew), w budowie zdań i ich szeregowaniu. Nawijająca niby świadomość do „Reduty Ordona”, gubi samodzielną w tym mariażu z rozsądku. Przypomina swoją koncepcją parafrazę Mickiewicza piosenki Tadeusza Hollendra.

Stanisław Czernik jest jednak poetą z własną niezaprzeczoną wyobraźnią. Tylko, że nieraz trudno się na nią zgodzić. Dlaczego np. poeta nazywa kł „skropionymi mieczami”, kłask żołnierski „plazem”, który się wylągł w furzerce”, a w jednym wierszu los staje się kolejno zającem, księżycem i rzeką?

Czytelnika o kłopoty przyprawiają chyba peryfrazы w rodzaju: „myśl, żółw w obrocie kół”. Wynika to nie tyle z odległych asocjacji, bo te mogą trafić w nowym świetle pokazać obiekty porównywane, ale jest to trudność konkretyzacji, bo przecież peryfrazą ta zestawiając pojęcie z konkretem w zdefiniowanej sytuacji wywołuje w nas obraz poetycki budzący sprzeciw.

Wiersze powojenne są znacznie bogatsze o doświadczenia ideowe całej poezji współczesnej. Drogę do nich odnajdywał Czernik w stylizowaniu na pieśni ludowe i w daleko idących uproszczeniach frazy. Jednocześnie zaś odżywały w nim dawne koncepcje tematyczne („Ziemniaki”).

Wydaje mi się, że zwycięstwa artystyczne Stanisława Czernika, mimo wysuniętych tu zastrzeżeń, są bezsporne.

JERZY WALEŃCZYK

Opowiadania geometryczne



Rys. J. Zaruba

KSIĄZKA *) Kijowskiego napisana została w sposób geometryczny. Geometria w literaturze znaczy — konsekwencja, oszczędność, symetria, pogłębienie. To rzadkość w książkach debiutantów.

Z bóstw pisarskich Kijowski wybrał sobie Ananke — konieczność. Już wiemy, dlaczego tak często — niekiedy niesłusznie — dowodził w swych recenzjach, że taka i taka sytuacja, w takiej i takiej książce jest wyimenna, że sens jakiegos opowiadania nie zmieni się, jeśli w miejsce konfliktu między kuliakiem a biedniakiem, podstawimy konflikt między królem Janem III Sobieskim a jego żoną Marysią.

Pierwszym założeniem tomu jest ambicja przekonania czytelnika, że cokolwiek w tych opowiadaniach dzieje się — musi się dziać tak a nie inaczej. Jest to, oczywiście, dyscyplina kompozycyjna, nie — światopoglądowa. Kijowski nie jest fatalistą, jest po prostu dobrym pisarzem.

Geometria tych opowiadań najsilniej rysuje się w jednym tu opowiadaniu — gatunkowo-satyrycznym: w „Towarzyszu Dialektyku” — kpinie z partyjnego schematyzmu, nie znającego nawet nazwy wsi, której problemy rozstrzyga z niezachwianą pewnością. Niewątpliwie satyra daje pisarzowi prawo do groteskowego schematu — sprawą subiektywnego odczucia jest odpowiedź na pytanie, czy ta kukielka nie tańczy zbyt regularnie. Po pierwszej lekturze noweli jej konstrukcja wydawała się niżej podpisanemu zbyt natarczywa. W książce wrażenie to ustępuje, a konstrukcja — stanowiąc szkielet znamięty satyry — nie przestaje reprezentować geometrycznej figury opartej na symetrii podwójnych przeciwieństw (pogodzonych w przemówieniu Gorbaka, skłóconych w wywodach bohatera), zamkniętej nieuchronnie wyprowadzoną z tekstu pointą — kompromitacją mówcy, który zapominał, o czym mówi. Kompromitacja niespełniona, potencjalna. (Nikt przecież nie domyślił się ignorancji Towarzysza Dialektyka). Warto zapamiętać to poczucie umiaru u młodego pisarza.

Szkieletu widocznego w tym stopniu, co w „Towarzyszu Dialektyku” czytelnik nie spotka już w innych opowiadaniach. Na przeciwnym biegunie znajduje się „Niebo”, długie, na powieść zakrawające opowiadanie, solidnie obrobione w pisarskie mięso — paralela losów dwu młodziutkich, wiejskich biedniaków.

*) Andrzej Kijowski „Dziękuję, anioł i chłop”, Wyd. Lit. 1955 r.

„Niebo” najdobitniej przypomina o tym, że książka Kijowskiego jest jednak debiutem. A to przecież utwór o partiach naprawdę odkrywczym. Realistyczny przekrój przez niejedno z najważniejszych środowisk Polski dwudziestolecia. Odpowiedzenie, zdeptanego przez schematystów, kapitalnego problemu rozwarstwienia wsi. Odpowiedzenie idące słuszną drogą odwrotu od supertypowości. Opowiadanie w którym kulak jest budzącym litość wariatem, a jego wyzyskiwany parobek wzorem wiernego sługi, w którym statystyczna typowość zostaje ujęta w formę końcową — sugestii.

O debiutowym charakterze „Nieba” decyduje jego pisarski oportunizm: łatwizny pewnych konwencji, na które autor daje się nabrać, łzawa, jakby nie przeżyta na nowo, tragedia suchotniczej córki bezrobotnego, naiwnie polakierowanego wizerunku całego środowiska bezrobotnych, banalnie sformułowane dziewczynskie marzenie Anieli, przesadnie mihałkowaty Adam, zbyt łatwo odnajdujący swój klasowy drogowskaz.

Te poetykie pisarz komplikuje w dwu opowiadaniach: „Fali” i „Dziękuję, anioł i chłop” w sposób zasługujący na uwagę.

To sprawa podwójnego znaczenia tych opowiadań. „Fala” jest bardzo regularnie zbudowanym, bardzo interesującym psychologicznie opowiadaniem o obszarniku. O obszarniku z kompleksem. Rodzice rozstrzelani przez machowców, uniwersyteckie ciagoty lewicowe, wzór sąsiada — wyznawcy straconej konwencji konserwatywnej — czynnik te z matematyczną ścisłością wyznaczają paradoksalną decyzję bohatera: opuszczenie majątku przed nadejściem wojsk radzieckich i polskich, przed nadejściem rewolucji. Opuszczenie majątku, dworu, ziemi — to byłoby zrozumiałe. Ale także opuszczenie dobytku ruchomego: mebli, porcelany, srebra. Ten niespodziewany, tajemniczy, nocny wyjazd jest nie tylko świetną pointą opowiadania o Czesławie Horodzieckim. Jest także, jest przede wszystkim syntezą klasy — już skończony, już właściwie nieagresywny. Wypadek indywidualnie nietypowy zyskuje walor typowości w sensie symbolicznym. Jest to podwójna korzyść artystyczna. A rozrachunek przeprowadzony przy udziale maksimum obiektywizacji staje się tym bardziej drugoczący.

Podobne w wyrazie, lecz bardziej skomplikowane, popis majsterstwa kompozycyjnego, to „Dziękuję, anioł i chłop”. Tu Kijowski wybrał alegorię, nie zawahał się przed pozorami łopatołogi. Mogłoby się wydawać, że stała się przed czytelnikiem i mówi: — Wiesz, młody przyjacielu, bogacz na wsi, to tak jak diabeł. Żebyś to sobie zapamiętał. — Lecz w wuju Diabła włożono tak indywidualny i niewymyślony mechanizm psychiczny, że jego klasowa rola staje czytelnikowi przed oczami dopiero ex post. Sprawy uwarunkowania społecznego komplikuje tu problematyka moralna: nadzwyczaj dyskretnie ukazany dyalekt, przed którym staje „chłop” — Szymon Chmura: szczęście małżeńskie — spadek po bogatym wuju. Szymon Chmura wybiera spadek i zostaje ukarany śmiercią żony.

Zaczeliśmy od geometrii. Wypada na niej skończyć. Świetne opanowanie (Dokończenie na str. 8)

CZY SŁUSZNA DROGA?

Na progu nowego roku pracy amatorskich zespołów artystycznych nie od rzeczy będzie pomówić o osiągnięciach, a także brakach poprzedniego sezonu. Interesować nas będzie przede wszystkim sprawa muzyki — jednego z ważniejszych elementów twórczości zespołów amatorskich. Doświadczenia minionego sezonu dostarczają w tym względzie ciekawych uwag i uprawniają do ogólnych wniosków.

Konkurs Amatorskich Zespołów Artystycznych ogłoszony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki przebiegał w aspekcie „podsumowania dorobku dziesięciolecia”, i to pod względem repertuaru, jak i wykonawstwa. Mogłoby się wydawać, że będzie to impreza, w której ujawnia się dążenia zawodowców i amatorów zmierzających do upowszechnienia dobrej muzyki współczesnej i spopularyzowania jej wszędzie tam, gdzie były opory w jej przyjmowaniu.

Eliminacje wojewódzkie wykazały, w stosunku do lat ubiegłych olbrzymi wzrost poziomu wykonania, ujawniły jednak wiele błędów w doborze repertuaru, a także niezrozumienie istotnego celu pracy w zespołach amatorskich.

Przed wszystkim rzucało się w oczy to, co już podkreślał M. Orlicz przy omawianiu zespołów amatorskich („Kronika” nr 3), a mianowicie: nastawienie zespołów wyłącznie na uczestnictwo w konkursie, na zdobycie nagrody — i to koniecznie pierwszej — oraz wyjazd na eliminacje centralne.

Nie wszystkie zespoły rozumiały, że najważniejszym ich zadaniem jest za-

interesowanie sztuką jak najszerzej rzesz społeczeństwa, zwłaszcza tam, gdzie zespoły zawodowe, ograniczone ilościowo — nie mogą tego czynić.

Tygodnik „Stolica” przytoczył w swoim czasie — w związku z Festiwałem Muzyki Polskiej — słowa kompozytora Zygmunta Mycińskiego wygłoszone na Radzie Kultury i Sztuki, jeszcze w r. 1953: „Festiwal w kraju, w którym ani się nie gra, ani śpiewa, lub w którym słucha się w najlepszym wypadku słabych lub nieudolnie nagranych wianek, nadawanych przez hałaśliwe i zachrypnięte głośniki, taki festiwal będzie tylko czynem na pokaz.”

Zdawać by się mogło, że ta surowa ocena obecnie, gdy do konkursu amatorskich zespołów artystycznych stanęły dziesiątki tysięcy zespołów, jest już nieaktualna i nie odpowiada istotnemu stanowi rzeczy.

A jednak... I tutaj spojrzmy na muzyczny repertuar zespołów biorących udział w konkursie! Nieczęsto mieliśmy możliwość spotkania się z takim doбором utworów muzycznych, który wykazywałby na ambicie próby pokazania czegoś nowego i który by nie powtarzał szlaków utartych już przez dziesiątki zespołów. Niedużo było zespołów, które próbowałyby znaleźć własną linię repertuarową, nie będącą hasładownictwem Mazowsza lub tradycją Związków Śpiewaczy.

A przecież zespoły miały całkowitą swobodę wyboru utworów muzycznych, i w tej sytuacji pójście po linii najmniejszego oporu, opracowywanie częstokroć pieśni unisono (w wypadku zespołów chóralnych), lub o łatwym układzie dwu i trzy głosowym, nie stawało przed zespołem tych trudności,

których pokonywanie uczy i podnosi poziom zespołu.

Niektórzy instruktorzy starali się osiągnąć łatwość w nawiązywaniu kontaktu z publicznością — często bardzo niewybredną — wzorując się na znanym repertuarze „Mazowsza”. Pieśni te, którymi publiczność karmiona jest przy wszystkich możliwych okazjach nie mogą spełnić postulatów upowszechniania muzyki w szerszym zakresie. Tym bardziej, że w wykonaniu amatorów brzmią znacznie słabiej niż wówczas, gdy śpiewa je zespół macierzysty.

W czasie eliminacji słyszeliśmy dziesiątki razy śpiewane: Sygietyńskiego „Ej przeleciał ptaszek”, „Ukochny kraj”, Kiesewettera „Białą gołąb” itp. itp. Natomiast tacy kompozytorzy wartościowych utworów chóralnych, jak: Wiechowicz, Sikorski, Proszak, Paciorekiewicz, Jurdziński, Dziwulska, nie byli reprezentowani prawie żadnym utworem. Na palcach można policzyć te zespoły, które ambitnie pokusiły się na sięgnięcie do tego repertuaru. A przecież nie można się tu tłumaczyć brakiem materiałów nutowych, gdyż setki tysięcy egzemplarzy zalegają półki Domu Książki.

Oczywiście, że brak zawodowego zespołu chóralnego na terenie województwa łódzkiego — musiał się niekorzystnie odbić w pewnej mierze i na tym odcinku. Zespoły nie miały bowiem okazji do zapoznania się z twórczością wyżej wymienionych kompozytorów. Trzeba także przyznać, że brak jakiegos generacji linii postępowania, niesprecyzowanie — jakimi kryteriami powodować się będzie sąd konkursowy — pogłębiał niejednokrotnie fakt owego nieszczyśliwego doboru repertuaru muzycznego. Musiało to spowodować nieporozumienie i niepotrzebne rozczarowanie. Tego trzeba było w pierwszym rzędzie unikać na przyszłość. Niemniej wszystkie te fakty nie usprawiedliwiają dominującego w pracy zespołów zja-

wiska: nieambitnego, wtórnego traktowania elementu muzycznego.

Oczywiście, że nie wszędzie zdarzały się takie pomyłki, tak jak i nie wszystkie zespoły rezygnowały z ciekawego, choć nieraz trudnego repertuaru, i zdaje się być dobre na tym wyszły.

Widzieliśmy także zespoły, które wychodziły ze słusznego założenia „nie ma spektaklu prawdziwie artystycznego, jeśli nie wszystkie członki zespołu będą na równi precyzyjnie i troskliwie opracowane”. Jeśli chodzi o zespoły pieśni i tańca, to do takich należały przede wszystkim: międzyspółdzielczy Zespół Ziemi Piotrkowskiej, który położył ogromny nacisk na dobór i odpowiednio przygotowanie partii muzycznych, tak w orkiestrze, jak i chórze.

Dalej z zespołów pieśni i tańca duży nacisk na stronę muzyczną położyły 2 zespoły z Łowicza: „Łowicki zespół pieśni i tańca”, oraz „Sztuka Łowicka”, a z pionu szkolnego Szkoła Podstawowa nr 1 w Zdunskiej Woli, Technikum Rolnicze w Bliuku.

Niestety, były to na ogół dość nieliczne wyjątki, bowiem większość zespołów — zwłaszcza tanecznych wychodziła z założenia, że muzyka jest elementem całkiem ubocznym, że o ile o stroje należy dbać z całym pietyzmem, to podkład muzyczny można traktować całkiem po macoszu, często w sposób przypadkowy. Zdarzały się także wypadki, jak doświadczenie do doskonałego składu zespołu tanecznego dwu akordeonów grających tę samą wprowadzającą melodię — ale w dwu różnych tonacjach.

Oczywiście, nielato przychodzi zespołom zdobyć takich instrumentów, jakich instruktor chciałby użyć; często wykonawcy, jakimi się dysponuje, są nie na poziomie, ale co dobrego przychodzi łatwo? Na pewno, żadnemu zespołowi zdobyć instrumentów, czy kostiumów, nie przyszło bez trudności.

Jeśli chodzi o zespoły instrumental-

ne — to i tutaj zdarzały się nieporozumienia repertuarowe.

Dużym błędem było opracowywanie na wielkie orkiestry akordeonowe — łatwych i ogranych już na wszystkie strony „kawałków” i to unisono. Ta maniera unisonowości (częste nakładanie na akordeony — instrumentów dętych, piórkowych, smyczkowych w myśl zasady: było dużo) spotykana była przede wszystkim w zespołach szkolnych. Są to zespoły młode, o mniej wyrobionych „wirtuozach” i może nie miałyśmy do nich o to szczególnej pretensji — gdyby nie inne, wprawdzie nieliczne, które jednak potrafiły doprowadzić do wzbogacenia harmonii, do kilkunastowego traktowania pokazanych instrumentów.

Zdarzały się zespoły — (np. Orkiestra Symfoniczna WZSP z Radomska), które potrafiły zaimponować, a co najważniejsze pokazać nie tylko w najlepszym świetle naszą otwórczość amatorską, ale i zaprezentować dorobek polskich kompozytorów. Poprzez pokazanie dobrej, nowej muzyki, zbliżając one słuchacza do sal koncertowych, uczą go korzystania z tego co nowe, choćby to było w pierwszej chwili trudne do przyjęcia. Jeśli w przyszłości więcej zespołów pójdzie tą drogą — nie trzeba będzie się obawiać, czy aby trzeci z kolei Festiwal Muzyki Polskiej, odbędzie się przy zapelnionych salach koncertowych. Długa do tego droga, ale jeśli nie chcemy, by słowa „upowszechnienie muzyki” były jedynie sloganem, trzeba walczyć o to, by „muzykowanie” nie tylko obejmowało jak największą ilość zespołów, ale przede wszystkim, by zespoły szukały nowych, własnych dróg, by nie szły po linii najmniejszego oporu, by sięgały po coraz to nową, kształcącą ich i odbiorcę repertuar, a przede wszystkim, by pamiętały, że zdobyć nagrody w eliminacjach nie jest najwyższym celem.

ANDRZEJ CWOJDZIŃSKI

O mój rozmarynie...

Z racji swojej pracy odwiedziłem niedawno jedną z łódzkich szkół. Rozmawiając z kierownikiem usłyszałem nagle — chóralski śpiew. „Ojciec” szkoły poinformował mnie, że odbywa się właśnie lekcja śpiewu. Gdzieś za ścianą wrzeszczała działwa stare, legionowe piosenki: „O mój rozmarynie”, która przeszła w dziarską „kadrowkę”. Następnie repertuar poszerzył się o „Wojenkę” i „Jedzie, jedzie na kaszance”. W całej sytuacji, bardzo dla mnie niespodziewanej, to było pocieszające, że sanacyjna piosenka wykonana była straszliwie źle, nieudolnie, fałszywie.

Dyrektor zbladł jak ściana, wycedził pod adresem nauczyciela: „stary cymbał”, próbował następnie to nieco-dziennie zjawisko wytłumaczyć.

Po pierwsze, ów nauczyciel jest nie-pewny ideologicznie, dlatego nie powierza mu się poważniejszych przedmiotów, tylko śpiew. W tym miejscu doświadczony dyrektor ugryzł się w język i począł wyjaśniać, że pedagogzy w zakresie śpiewu znajdują się w sytuacji... zębów. Wymierają, tylko racjonalna hodowla może ten gatunek nauczyciela uratować.

Długo myślałem potem nad tak zwanymi „przedmiotami artystycznymi” w szkole, ich rolą w wychowaniu młodzieży. No, istotnie, jest źle ze śpiewem. Nauczycieli w tym zakresie kształci się, ech... o ja mówię, nie kształci się prawie wcale. Śpiew jest przedmiotem, przydzielanym polonistom, fizykom, komu chcecie, każdemu, komu brakuje kilku godzin do uzyskania pełnego etatu w szkole. Jest to przedmiot dziwnie pogardzany.

Przypominają mi się, w związku z tym, ostatnie konferencje sierpniowe. Przez dwa dni nie starczyło czasu, aby pomówić o szkolnych, mało ważnych, „michałkach” — śpiewie i robotach

ręcznych. „Ustawiać” i „ideolodzy” zajęli pierwszy dzień obrad, drugi — ważniejsze przedmioty nauczania. Kiedy mój stary, pocziwy, znany ze szkolnych lat, kierownik sekcji śpiewu i muzyki zabrał na szarym końcu głos — sala podśmiewała się. A przecież mówił o sprawach wcale niewesołych. Wskazywał na dotkliwy brak specjalistów w szkołach, stwierdził przerażającą małą liczbę godzin śpiewu w poszczególnych klasach, zwłaszcza zaś w zakładach kształcenia nauczycieli — liceach pedagogicznych. Domagał się wydawania czasopisma „Muzyka i śpiew w szkole”, rzeczy głęboko słusznej, a przecież ogólna wesołość wcale nie malała.

Czułem, że się czerwienię. Kiedy 20 lat temu przyszedłem do gimnazjum, jako trzynastoletni „świszczypała”, nie spodziewałem się, że ten starszy człowiek tak bardzo zapalił mnie do pieśni. Jeżeli dziś znam jeszcze trochę teorii muzyki, umiem zaśpiewać w chórze i gram coś nieco na skrzypcach — zawdzięczam to szkole.

Smutna to doprawdy sprawa. Latem jechałem „Diana” z Międzyzdrojów do Szczecina. Na sali dancinowej śpiewali: Czesi. Nie był to przecież żaden zorganizowany zespół, a jednak śpiew brzmiał zgodnie, czysto, melodyjnie, jak u przedstawicieli narodu, który żyje muzyką na co dzień. A u nas, na tej samej „Dianie”, w domach wczasowych i przy innych okazjach? Nieśmiertelna „Sza dzieweczka do laseczka”, a po wodce, „Wszystkie rybki śpią w jeziorze”, „Czerwony pas”, albo „Góralu, czy ci nie żal”. Nikt zazwyczaj drugiej zwrotki nie zna, śpiew rozlaży się z reguły po pierwszej.

Nie powinny nas ludzi niewątpliwie sukcesy „Mazowsza”, „Śląska” i innych zespołów. Pokazują one tylko możliwości w zakresie upowszechnienia

kultury muzycznej, a nie realny stan. Wystarczy tylko przypomnieć sobie Festiwal. Tam się dopiero pokazało, jak bardzo jesteśmy zacofani, jeżeli chodzi o rozśpiewanie naszej młodzieży. Chłopcy i dziewczęta z krajów kapitalistycznych i kolonialnych, którzy nie mają przecież tak doskonałych warunków na opanowanie sztuki śpiewania — bili nas przecież na głowę.

Nie mamy dobrych, współczesnych piosenek masowych? Owszem, nie bardzo są udane. Ale to żadne wytłumaczenie. Istnieje bogata, powstała wcześniej pieśń ludowa, regionalna, a przecież młodzi jej nie znają. Rzecz polega na tym, że w pracy ZMP — zagadnienie śpiewu wygląda źle. Czyżby piosenka demobilizowała ideologicznie? Chyba nie, raczej chodzi tu o karygodne przeoczenie, szkodliwe niedocenywanie kultury muzycznej, jako czynnika kształtującego wychowanie estetyczne, patriotyczne, żywy stosunek do piękna, a nawet i współczesności.

Podobnie i w szkole. Który to nauczyciel nie chciałby poszerzać w młodych sercach skali wrażliwości na piękno, poszerzać granice świata wyobraźni i wzruszeń? Bez muzyki i śpiewu daleko jednak nie zajdzie. Cemu tedy uczą w szkołach śpiewu ludzie nie mający ani głosu, ani słuchu? Cemuż uczą legionowych piosenek? Inna rzecz, że tego rodzaju wypadki są niezmiennie rzadkie, ale doprawdy licha wie, czego na lekcjach śpiewu młodzież się uczy. Cemu ta dziedzina wychowania estetycznego spoczywa, jakże często, w rękach dyletantów, ludzi przygodnych, którym brak zamilowania? Cemu w niektórych klasach w ogóle śpiew nie jest przewidziany? Ano właśnie — czemu?

RYSZARD MAŁECKI

Wyznanie prelegenta

To bardzo dobrze, że mieliśmy Dni Kultury Białoruskiej. Ale czynny się do tego przygotowali?

Będę mówił tylko o moich kłopotach, związanych z tymi dniami. Tak się złożyło, że musiałem występować jako prelegent z odczytami o literaturze białoruskiej. Prelegent, gdy opracowuje jakiś temat, szuka odpowiednich źródeł i danych.

Jak się okazało, nie mamy antologii poezji białoruskiej, choć mamy dużo z niej przekładów — o niejednakowej wartości rozrzuconych po czasopiśmie.

Otrzymałem odtisk „Materiałów słowno-muzycznych na Dni Kultury Białoruskiej”, wydaną aż przez Centralną Poradnię Kult.-Oświatową Zarządu Głównego TPPR.

We wstępie przeczytałem: „Niniejszy zbiór zawiera notki biograficzne, dotyczące czołowych poetów białoruskich...”

Zdziwiło mnie, że wśród zmarłych poetów nie znalazłem ani Bohuszewicza, ani Bohdanowicza, a z żyjących poetów nie było nazwiska Pimena Panczenki.

Choć w odtłoczce nie ma jakiegokolwiek ogólniającego wstępu, który by omawiał zasadnicze zagadnienia poezji białoruskiej, to jednak pomyślałem sobie, że wyrobię na nią pogląd na podstawie charakterystyk poszczególnych poetów.

Istotnie, znajduję uwagi, dotyczące pochodzenia socjalnego: Astrejka jest synem chłopskim, Browka synem chłopca - biedniaka, Głębka jest synem

chłopskim, Krapia również urodził się w rodzinie chłopskiej, klasyk poezji białoruskiej Kupała — dla odmiany — urodził się „w rodzinie ubogiego dzierzawcy z bezrolnych chłopów”...

Gdybym miał odczyt o pisarzach białoruskich w gronie personalników, należałoby przypuszczać, że te informacje w zupełności zadowolilyby moich słuchaczy.

Miałbym jedynie kłopot ze znakomitym pisarzem, Jakubem Kołasem! W „materiałach” podano, że urodził się w rodzinie gajowego, zaopatrzone poza tym jego nazwisko w epitet „założyciel nowej literatury białoruskiej”. Czy można literaturę „założyć” na podobieństwo, dajmy na to, spółki akcyjnej? Widać, że można... Ale chodzi mi o pochodzenie socjalne, bo oto „Głos Robotniczy” z 2 października podaje, że Kołas jest „synem bezrolnego poleskiego chłopca”. Czyżby „Głos” lepiej wiedział? Wątpię...

Położmy jednak kres tym dociekaniom! Miałem mówić o poezji białoruskiej nie do pracowników wydziałów personalnych! A więc musiałem tę poezję jakoś scharakteryzować, podać jakieś szczegóły ogólnego jej obrazu. „Materiały”, jak wspominałem, zawierają pewne charakterystyki poszczególnych poetów. Oto one w wyjątkach...

„Poezja Astrejki jest ściśle związana z twórczością pieśniarzy ludowych. Zasadniczą jej cechą jest bojowy, polityczny charakter i więź ze współczesnością”...

O Browce:

„Utwory poety z czasów wojny mówią o patriotyzmie i bohaterstwie narodu białoruskiego. Poeta udziela w swych utworach wiele miejsca motywom ludowym, folklorowi”...

Głębkę „cechuje aktualizm polityczny”... Kołas „odtworzył walkę mas pracujących... stąd — głęboko narodowy charakter jego twórczości”...

Kuleszow „wiele miejsca udziela... tematowi walki o pokój i demokrację”. Jeśli chodzi o Kupałę, to „stał się on natchnionym piewca nowej Białorusi”...

Poezja Niechaj opiewa „miłość kraju rodzinnego”...

Z utworów Tanka „bije wielki żar miłości do rodzinnego kraju”...

Po przestudiowaniu tych „materiałów” moje przerażenie dałoby się wypowiedzieć słowami z pewnego wiersza J. St. Leca: „Hej tam do wszystkich mamusi, które się zapomniały!” Przecież z „materiałów” wynika, że wszyscy wymienieni twórcy robią to samo, piszą na te same tematy, nie mają indywidualnych środków poetyckiego wyrazu.

Dobrze, że znam nieco poezję białoruską. Wiem, że tak nie jest! Ale dla iluż to prelegentów w kraju te „materiały” TPPR-u mogły być prawie jedynym lub nawet jedynym źródłem informacji?

Trudne były te Dni dla niektórych prelegentów. Jeśli zaś chodzi o słuchaczy, to już nie mam zamiaru wzdychać w ich imieniu, niech sobie sami wzdychają!

Konkurs Mickiewiczowski

Zgodnie z zapowiedzią podajemy w bieżącym numerze dalsze 3 rysunki Konkursu Mickiewiczowskiego i przypominamy, że w numerze następnym (14-tym) zamieszczone zostaną 3 ostatnie ilustracje. Odpowiedzi konkursowe należy wysłać dopiero po opublikowaniu wszystkich rysunków, a więc po ukazaniu się nr. 14-ego. Między tych uczestników, którzy nadesłali bezbłędne rozwiązania rozlosowane zostaną następujące nagrody:

I — APARAT RADIOWY

II — WIECZNE PIÓRO

III — TECZKA

oraz liczne nagrody książkowe. Przypominamy, że warunki konkursu zostały omówione w poprzednim (12-ym) numerze „Kroniki”



Rysunek konkursowy nr 4

Rys. Teresa Tyszkiewicz



Rysunek konkursowy nr 5

Rys. Benon Liberski

TARAPATY REPORTERA

(Dokończenie ze str. 2)

je siły, pozwala wierzyć, że człowiek nie jest osamotniony. Nikt nie lubi krytyki, nie lubimy się. Każdy przyjmuje ją z mniej czy więcej jawną niechęcią. [Krytykujący są ogładani na wszystkie strony, każdy ich gest, każdy ruch w terenie bywa zauważony. Mnie na przykład po pewnym krytycznym raporcie zarzucono, że noszę beret i krótki płaszcz, co miało być równoznaczne z uleganiem amerykańskiemu stylowi życia.]

Reporter jest człowiekiem, któremu przysyłają anonimów. Zdarzyło się w naszej redakcji nieraz, że przysłano promówki w rodzaju „my cię wykończymy”. Praca reportera nie jest łatwa. I dlatego reportaży w gazecie nie ma. Kiedy zdarzy się, że reporter na miejscu, będąc w terenie, na zebraniu, w spółdzielni, wyjawia swoje stanowisko, od razu pragnąc pewne sprawy skierować we właściwym kierunku, czuje się

przecież pracownikiem propagandy, pracownikiem politycznym, następnego dnia rano już do naczelnego telefonują, pytają o nazwisko śmiałka, mieszają go z błotem, znowu zwracając uwagę, że mówiąc czynił prawą ręką gesty, a lewą trzymał nonszalancko za kłapą marynarki. Reporter swoim wystąpieniem rozbudził dyskusję, (przedtem trzeba było ciągnąć dyskutantów za język), a do naczelnego telefonuje się, że „zabił dyskusję”. Tak. Zabił, jałowu, nieruchawą, tępą paplaninę.

Tylko niewielu ludzi wytrzymuje taki napór, tylko niewielu się nie załamuje. Znam pewnego wybitnego, młodego reportażyście, który po kilku kolejnie następujących po sobie takich atakach ze strony krytykowanych, rzucił reporterkę aktualną i przeniósł się w sfery roku 1905, w czym pomogła mu aktualna rocznica. To są sprawy poważne, lecz mówi się o nich tak rzadko. Dlatego jestem głęboko wdzięczny „Kronice” za zapoczątkowanie dyskusji o reportażu. Myślę, że powinni w niej wziąć udział także redaktorzy naczelni obu naszych pism codziennych, że powinni zabrać głos także towarzysze z obu Komitetów partyjnych, szczególnie z wydziałów propagandy.

Na koniec, żeby sprawa nie wyglądała tak tragicznie, opowiem dwa wesele epizody z pracy reportera. Zdarzyło mi się pewnego razu napisać reportaż z przodującej spółdzielni w Jackowicach,

po pobycie w niej tow. tow. Chruszczowa i Bieruta. Tego dnia, kiedy tam pojechał, maciora urodziła prosiątka. Były niezmiernie małe i nieporadne, nasunęły mi porównanie, iż są wielkości gęsięgo jajka. Po dwóch dniach przyszedł list, w którym zostałem nazwany idiotą, wrogiem klasowym i kretynem, sprzedawcą lodów i agentem Waszyngtonu, za obrazę spółdzielni, w której były tak wielkie osobistości. Udowodniono mi, że największe jajo gęsi ma 10 cm, zaś najmniejszy prosiak — 12 do 14 cm. Najmniejszy. A wiadomo, że w przodującej spółdzielni, którą odwiedzili sami... i tak dalej, takie się nie rodzą!

Drugi wesoły epizod zdarzył się redakcyjnej koleżance. Otóż w jednym z reportaży napisała o chłopcu, który jej wskazywał drogę, że „miał czapkę nasuniętą głęboko na uszy”. Ciała wieś przysłała list z pieczęcią sołtysa. Ze dopuszczono się obrazy dziecka przodującego hodowcy... Ze nie podobała jej się czapa, bo jej chłop śmierzdzi i tak dalej.

Takie to przygody spotykają gazetowych reporterów. Chciałbym zakończyć swój felieton biblijnie: zaprawdę, powiadam wam, nie będzie reportażu dopóty, dopóki nie zostaną stworzone obiektywne warunki dla jego niepostrzymanego rozwoju. Jakże to mają być warunki — starałem się powiedzieć nieco wyżej.

BOHDAN DROZDOWSKI



Rysunek konkursowy nr 6

Rys. Tadeusz Kokietek

KUPON KONKURSOWY	
Nr rysunku	Tytuł ilustrowanego utworu
4	
5	
6	

Czyżby — fiszbin i znudzenie

Uwagi moje na temat operetki, zamieszczone w nr 15 „Teatru”, spotkały się na łamach „Kroniki” (nr. 11) z repliką Leopolda Becka. Dotyczy ona, niestety, jednej tylko, marginalnej sprawy: rymów w operetkowym librecie. Ale dobre i to: zaczynamy nareszcie dyskutować o sztuce operetkowej.

Otóż Leopold Beck, nie negując w zasadzie, że Tadeusz Cygler, autor libretta „Tajemnicy Dedala”, używa banalnych i wyartystycznych rymów, usiłuje wykazać, iż podobnymi rymami posługiwał się przy tłumaczeniu librettu Tuwima, w konkluzji zaś stwierdza, że „prymitywizm i płytkość rymowania istnieje w librecie jako problem dopiero wówczas, gdy się rozrywa jednoznaczność muzyki i słowa” i że „nie było, nie ma i nie będzie samodzielnego odbioru rymu przez widownię operetkową”.

Nie przemawia do mnie ani zastosowana przez Becka metoda „rehabilitacji” Cyglera jako autora rymowanej libretta, ani jego (Becka) wywód końcowy.

Po pierwsze: wymieniając dla przykładu kilka par cyglerowskich rymów wyraźnie przed tym zaznaczam, że autor libretta używa ich nie tylko w partiach wokalnych, ale i w mówionych (zupelnie niepotrzebnie). Kiepsko zrymowane dialogi (bez muzyki) nie mają nic wspólnego z „jednoznacznością muzyki i słowa”.

Po drugie: długa lista rymów pracowni wyłowionych przez Becka z libreta „Zemsty nietopiera”, oprócz znacznej ilości rymów banalnych, zawiera istne perełki twimowskiego rymotwórstwa, że wymienię bodaj świetnie asonans „czyżby — fiszbin” (nb. wyraz „fiszbin” nie pisze się, jak to uczyniła „Kronika” przez „ż”), czy przebarwiony rym złożony „cioci—co ci”, który Beck całkiem nie słusznie umieszcza jako curiosum, w tytule swej polemicznej notatki.

Po trzecie: jeżeli nawet Tuwim nie zawsze uniknął w swych świetnych przekładach i adaptacjach banalnych rymów (z czego sam pochwycił sobie w uroczym felietonie „Kilka słów o operetce”), to czyż znaczy to, że autorzy librett nowych polskich operetek — nie skrepowani, jak tłumacze, gotową już muzyką — również powinni posługiwać się szablonem i to — jak w wypadku Cyglera — wyjątkowo i szablono?

Wreszcie przechodzę już do ogólnej, postawionej przez Becka tezy — nie jest, zdaniem moim, słuszne twierdzenie, że dla widowni operetkowej nieważne jest to, jakich rymów używa librecista, bo i tak nie odbiera ich samodzielną.

Owszem, odbiera, a potem te rymy przenikają do „poezji” i zaśmiecają literaturę (o użyciu kultury pieśni na wersyfikację przekonywująco pisze Ważyk w swej rozprawie „Mickiewicz i wersyfikacja narodowa”). Przypuśćmy jednak, że sprawa rymów jest istotnie dla widowni operetkowej nieważna, ale pytanie: dla jakiej widowni? Bo chyba nie dla tej, której gust artystyczny chcemy kształcić. Gdyby stanąć na stanowisku Becka, że w tekstach wokalnych można używać rymów byle jakich, bo chodzi tylko o to, by zachowana była „jedność muzyki i słowa” (co to właściwie znaczy? czy prawdziwa prozodia wyklucza troskę o dobry rym?) — to łatwo byłoby dojść do wniosku, że w ogóle wszelka praca nad podniesieniem jakości literackiej tekstów muzycznych, a więc i librett operetkowych, jest bezcelowa, po prostu zbędna. A tego rodzaju poglądów taki świetny znawca operetki, jakim jest Beck, nie powinien szerzyć i w przypadku „Tajemnicy Dedala”. Nie było, nie ma i nie będzie bezkrytycznego odbioru mówionego czy śpiewanego na scenie tekstu przez widownię operetkową. Takie zjawisko zaistniało tylko w czasopiśmie „Kronika” numer jedenaste z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku.

EUGENIUSZ ŻYTOMIRSKI

P. S. Poza wspomnianym już wyżej „fiszbinem”, do notatki Becka wkłada się jeszcze jeden lapsus. W cytacie z mego artykułu znalazło się zdanie: „Autor libretta... aż do zdumienia (podkreślenie moje) rymuje w piosenkach noc-moc” itd. Tymczasem napisałem najwyraźniej, że Cygler rymuje „aż do znudzenia” (podkr. moje). I słusznie. Bo powodem do zdumienia naprawdę nie ma żadnego.

E. Ż.

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAJE ZWIĄZEK LITERATÓW
POLSKICH
Oddział w Łodzi
NAKLADEM RSW „PRASA”

Adres Redakcji:
Łódź, Piotrkowska 96, I p. Tel.: 244-79
Rekopisów nie zamawiających
nie zwraca się

Prenumeratę miesięczną wnoszącą
zł 2,40 przysyłają Urzędy Pocztowe
i listonosze

Zakł. Graficzne RSW „Prasa” — Łódź,
Zwirik 17. Zam. 3220. N. 6000. Pap.
druk. sat. 60 g, V kl. XI. 55. D-6-16675

Współczesny Sokrates

SOKRATES: Dokąd tak pędzisz, Kliencie?

KLIENT: Ach, Sokratesie, nóg już niemal nie czuję! Od rana biegam po całym mieście, by kupić kłosa do lampy.

SOKRATES: I, jeśli się słusznie domyślam, nie możesz go znaleźć?

KLIENT: Nie mogę, Sokratesie. Ta przekłeta dystrybucja do grobu mnie wpędzi.

SOKRATES: Niepotrzebnie się denerwujesz, Kliencie. Czy sądzisz, że tego kłosa w ogóle nie dostaniesz?

KLIENT: Przypuszczam, że dostanę. W jakimś składzie leżą ich na pewno całe tysiące. Ale stracę parę dni, zanim ten skład znajdzie.

SOKRATES: To istotnie przykre, Kliencie. Wciąż uważasz, jeśli trafnie wnioskuję, że dystrybucja źle pracuje i uprzykrza życie ludziom pracy?

KLIENT: Tak rzeczywiście uważam. A ty sądzisz inaczej?

SOKRATES: Nic nie sądzę, Kliencie. Stary jestem, niewykształcony, gdzież mi tam sądy wydawać. Ale pozwól, że zadam ci parę pytań. Taki mam już zwyczaj, że gdy spotkam mądrzejszego od siebie, staram się jak najwięcej od niego dowiedzieć.

KLIENT: Proszę bardzo, Sokratesie, pytaj.

SOKRATES: Powiedz mi, proszę, co ci bardziej smakuje: kartofel czy pomarańcza?

KLIENT: Oczywiście, pomarańcza.

SOKRATES: A co ci łatwiej zdobyć?

KLIENT: Kartofel.

SOKRATES: A więc, jeśli poprawnie rozumuję, wolisz rzeczy, których jest mniej i które trudniej zdobyć.

Czy tak?

KLIENT: Na to wychodzi.

SOKRATES: Wyjaśnij mi jeszcze jedno. Komu jest łatwiej zbudować dla siebie własny dom: bogaczowi czy biedakowi?

KLIENT: Bogaczowi, to jasne.

SOKRATES: A dla kogo taki dom będzie większą radością: dla bogacza czy dla biedaka?

KLIENT: Dla biedaka.

SOKRATES: Dlaczego?

KLIENT: Bo dla bogacza mieć własny dom, to rzecz zwyczajna. A biedak musi się dobrze napracować, by go posiadać.

SOKRATES: Wynikałoby więc z tego, że każdemu człowiekowi więk-

szą radość i przyjemność sprawia to, co przychodzi mu z trudem. Czy dobrze rozumiem?

KLIENT: Wygląda na to, że błędnie popełniłeś.

SOKRATES: Jeśli jesteś tak łaskaw, może odpowiesz mi jeszcze na parę pytań.

KLIENT: Bardzo proszę.

SOKRATES: Jak sądzisz, co jest zadaniem instytucji powołanych do zaspokajania potrzeb ludności: dawać im radość i zadowolenie, czy sprawiać przykrość?

KLIENT: Kpisz sobie chyba ze mnie, Sokratesie, zadając takie pytania. Oczywiście powinny dawać ludziom radość i zadowolenie.

SOKRATES: Tak myślałem, ale chciałem się upewnić. Wróćmy teraz do tego, co byłeś łaskaw powiedzieć mi poprzednio: że największą radość sprawia człowiekowi to, co mu trudno przychodzi. Czy czegoś nie przekreśliłem?

KLIENT: Nie, tak istotnie powiedziałem.

SOKRATES: Dystrybucja, o ile wiem, jest powołana do zaspokajania potrzeb ludności. Powinna więc, jak żeśmy ustalili, dawać ludności radość i zadowolenie.

KLIENT: Tak.

SOKRATES: Stwierdziłeś z drugiej strony, że nie daje zadowolenia to, co łatwo przychodzi. Dystrybucja więc powinna starać się o to, by jak najbardziej utrudniać ludziom zdobywanie różnych towarów i artykułów. Wtedy bowiem nabywanie ich dawać będzie większą radość. Czy dobrze rozumiem?

KLIENT: Błędnie nie popełniłeś. Ale wniosek dziwny jakiś!

SOKRATES: Małoż to dziwów na świecie, Kliencie? Ale wracajmy do tematu. Czy dystrybucja dba wystarczająco o to, by nabywanie każdej rzeczy jak najbardziej utrudnić?

KLIENT: O, tak! Pod tym względem trudno jej cokolwiek zarzucić.

SOKRATES: A więc spełnia ona swe zadanie ku pożytkowi ludności i nie można twierdzić, że pracuje źle. Dzięki ci, Kliencie, żeś zechciał wyjaśnić mi to tak przystępnie. A teraz idź szukać swego kłosa. Im dłużej będziesz chodził, tym większa radość czeka cię w chwili, gdy go wreszcie zdobędziesz.

Nowości wydawnicze

Rzecz, która na pewno będzie policzona między zasługi naszych wydawnictw, jest popularyzacja klasyki — a w szczególności klasyki angielskiej. Czytelnik obeznany jedynie z językiem polskim, był do tej pory niezmierzonym odosobnionym od poetów, prozatorów, dramaturgów z wysp brytyjskich. Niestety, jeśli nasze wydawnictwa energicznie wzięły się do XVIII- i XIX-wiecznej literatury, to znacznie ostrożniej poczynają sobie z drugą połową minionego stulecia. Wygląda na to, jakby stosunkowo świeża przeszłość nieśmiała naszych wydawców, a nawet studiów ich zapędy. Toteż po dziesięciu latach nie wydaliśmy ani jednego tomu G. Mereditha czy H. Jamesa lub O. Wilde'a, choć tłumaczenie jego komedii „Maz idealny” znane jest co obrócić w przykład powielonego przez Centralny Zarząd Teatru. Druga połowa XIX wieku w pisarstwie angielskim, to wciąż dla naszego czytelnika T. Hardy, J. Conrad, H. Wells, F. Norris, T. Dreiser i G. B. Shaw, którego dwie sztuki „Major Barbara” i „Cesar i Kleopatra” wydali „Człystelnik” (P) i „Cesar i Kleopatra” wydali „Człystelnik” (P). Wśród autorów, którzy w przekładzie Floryana Sobieniewskiego. Nie wolno jednak zapominać, że równocześnie zrobiono bardzo wiele, by zaożywić naszego odbiorcę z literaturą gdzieś od 1700 do 1850. Wydano „Moll Flanders” („Człystelnik”), „Robinson Crusoe” (PIW) i „Roxane” („Człystelnik”) D. Defoe’a, „Józefa Andrews” („Człystelnik”) i „Janetę Wilda” (PIW) H. Fieldinga, „Caleb Williamsa” (PIW) Godwina, „Roderika Random” (PIW) T. Smolett’a, kilka, jeśli nie kilkunastu, powieści Ch. Dickens’a, „Targowisko próżności” („Książka i Wiedza”), „Księga srobow” (PIW) i „Wdowa Lovel” (PIW), W. M. Thackeraya. Ostatnio zaś ukazały się: „Tom Jones” H. Fieldinga i „Rodzina Newcome’ów” W. M. Thackeraya (obie powieści wyszły nakładem PIW) oraz „Eseje” D. Hume’a (PIW). Obawiam się, że nawet temu dość obszernemu rejestrowi daleko jeszcze do zupełności.

W ten sposób polskiemu czytelnikowi nie może już umknąć ani jeden spośród wielkich prozatorów angielskich XVIII wieku. Są oni reprezentowani przynajmniej jedną książką, a dłużej z nich trzeźwa. Dwie Defoe’a zawiązały to zapewne wytnęły propagandzie swego nazwiska, którą jakiś czas temu uprawiał Jan Kott. Henryk Fielding zaś w tym jest już popularnością wśród wydawców, bo dzięki jubileuszowi. Inaczej bowiem nie później ujrzałby światło dzienne przekłady „Janetę Wilda” i „Józefa Andrews”.

Czy prozacy reprezentowani są u nas pozycjami rzeczywistymi, a nie tylko nazwiskami, pozycjami rozstrzyganymi o znaczeniu ich utworów? Spoglądając na przekłady Fieldinga i Defoe’a, można śmiało powiedzieć — tak. Ale Smolett, zwłaszcza Sterne przypominają o zastanowieniu. „Roderik Random” ma — jeśli można tak powiedzieć — dobrą markę w wielu historiach literatury. Obawiam się jednak, że nie dzięki temu dziełu T. Smolett’a zdobył swą pozycję, że dzięki ci, Kliencie, żeś zechciał wyjaśnić mi to tak przystępnie. A teraz idź szukać swego kłosa. Im dłużej będziesz chodził, tym większa radość czeka cię w chwili, gdy go wreszcie zdobędziesz.

Po dłuższej przerwie wzięło się znow za Thackeraya. Ukazało się polskie tłumaczenie „Rodziny Newcome’ów”. Wybór jest słuszny. Ale czy nie lepiej byłoby wydać pierwsi „Pendennis”, jako że nie mając tej książki, trudno orientować się w aluzjach, które w „Rodzinie Newcome’ów” czyni autor do wydarzeń w niej opisanych. Nie zamierzam zalecać czy też odradzać wspomnianych tu książek. Nie zamierzam, gdyż — rzecz prosta — wszystkie one są godne lektury. Ba, godne w najwyższym stopniu. Tłumaczenia angielskich klasyków są bowiem z reguły tłumaczeniami książek wypróbowanych, przeżyszczonych przez gust wielu pokoleń.

W latach międzywojennych tłumaczenia wprawdzie na ogół w zaferowaniu. Często były niechlujne, a czasem nawet urągły poprawności językowej. Dział problem ten zniknął. Przynajmniej nie może być o nim mowa z okazji wspomnianych tu książek. Natomiast wyrósł inny — problem prawniczy. Zbyt często mają one — znamiona kazań pour de petit negre (dla muzyki), zbyt często są uczciwie naiwne, zbyt często traktują powieść jako ilustrację określonych prawd. Wielki smutek wstąpił we mnie, gdy przejrzałem posłowie do „Rodziny Newcome’ów” i „Roderika Random”.

Państwowe Wydawnictwo Naukowe wydało Hume’a. Jest to rzecz angielski filozof — po T. Hobbesie („Leviatan”) i J. Herschel („Wstęp do badań przyrodniczych”), którego książka ukazała się w przekładzie ostatnich kilku miesięcy. Nota bene wapię, czy bardziej celowym był przekład wybranych esejów niż wznowienie „Traktatu o naturze ludzkiej” — czy też „Badań dotyczących umysłu ludzkiego” — (jest to rozprawa stanowiąca wyciąg z „Traktatu”). Przypatrując się książce Hume’a nie jestem głem oprócz się zadowolony. Bo czyż nie jest rzeczą żenującą lekceważenie okazywane przez naszych wydawców myślicielom epoki minionych? Bo jakże nie czuć się nieswojo, kiedy książka tego właśnie gatunku stanowi swego rodzaju rzadkość? Rzecz wygląda jeszcze jako tako, dopóki obracamy się w kręgu francuskiego Oświecenia — ścisłej encyklopedystów lub ludzi z nimi powiązanych. Ale wystarczy zainteresować się epoką inną, a już włosy staną na głowie. Nie mamy przecież do tej pory wydać ani rozpraw filozoficznych (choć należały się osobno pochwała działalności PWN), ani esejów dotyczących tych spraw. Tak np. nie wznowiono jeszcze boyowskiego przekładu „Prób” Montaigne’a. Boję się, że skłania to do frasnku i zakłopotania.

OBSERWATOR

Opowiadania geometryczne

(Dokończenie ze str. 6)

kompozycji stanowi dla Kijowskiego pewne niezbędne piętno. Nowela „Dziabeł, anioł i chłop” nie porządnie na wymienionych chwytach. Cała akcja dzieje się w przeciągu kwadransu, we wspomnieniu skazanego przez lekarza na śmierć Szymona Chmury. Oczywiście, to klucz metafory moralitetu. Wolno się jednak obawiać, że Kijowski zbyt cieszy się swą słusnością. Czy nie podda się, widocznej zwłaszcza w „Towarzystwie dialektyku” tendencji do grubych krech kompozycyjnej, czy nie zapomni, że geometria w literaturze nie polega na rysowaniu kół czy trójkątów, lecz na kompozycji opartej na kołach czy trójkątach. Kompozycji, której dodatkowym wdziękiem jest wiedza o pięknie nieregularności.

W przewidywaniu tych obaw, w silniejszym nasyceniu ostrych konturów kolorem, winna leżeć różnica między pierwszą a drugą książką tego pisarza.

ZDZISŁAW KONICKI

JERZY KWIATKOWSKI



Piłka z ogana

NA PEWNA ZNAKOMITOŚĆ

Gdyby mu odjąć te, które ma, chody w komisjach, gdzie się trud twórcy ocenia, nie zostałoby zeń nic oprócz wody, wypijanej na posiedzeniach.

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

POZNAJMY BIAŁORUSKĄ KULTURĘ

W artykule pod powyższym tytułem przeczytaliśmy niedawno w „Łódzkim Expressie” „Ilustrowanym”.

W ostatnich latach w sztuce białoruskiej wielu młodych błysnęło talentem czystej wody: poeta epik Arkady Kuleszow, Piotr Browka, Janka Bryl, dramaturg Kondrat Krapiva”.

W ostatnich latach? Hm... Wielu młodych? Hm...

Piotrusz Browka urodził się w 1905 roku. Pierwsze swoje książki wydał w 1930 r. Kondrat Krapiva urodził się w 1896 r. Pierwsze swoje zbiorki wydał w 1925 roku...

REFLEKSJE

Z POWODU MINIONEGO LAT

Nawołuje się do czystości. Słusznie! Felietoniści co roku na tym nawoływaniu zbijają forsy. Ale felietoniści niewiele zdziałają, gdy dla zachowania czystości nie tworzy się odpowiednich warunków. O! choćby dwa przykłady z łódzkiego tegorocznego lata:

Łagiewnicka plaża była straszliwie zaśmiecona. Była w tym winą publiczności, ale też i władz miejskich. Bo jeśli nawet ktoś pragnął tę czystość zachować, to jak: nie pomyślał przecież ani o ustępach, ani o koszach na śmiecie...

Niejedną przechodzącą z naszej ulicy Piotrkowskiej nie chciałby śmiecić. Ale ileż to na tej przynajmniej łódzkiej ulicy jest koszy? Na ich położenie na pewno starczy palców jednej ręki.

A MHD, jak dotąd, nie sprzedaje małych koszy z parafinowanego papieru, które każdy przechodzący mógłby nosić ze sobą. Kosze mogłyby być zamieszczone za pomocą pięknej kolorowej wystawki na szyi!

JAK TO MOGŁO BYĆ?

Zdzisław Hierowski w swym artykule „Nowości teatralne Stalino” („Życie Literackie” Nr 41), między innymi pisze o „Maturzystach” Skowrońskiego. Omawia obsadę sztuk:

„Z młodych aktorów w „Maturzystach” wystąpiła tylko płotka: Stanisław Brudny (Kazek), Jan Klemsa (Bieracki).”

Czy w ten sposób chce powiedzieć, że Kazka Bierackiego jednocześnie interpretowali: Stanisław Brudny i Jan Klemsa?

HORACY SAFRIN

FRASZKI O HERSZLU Z OSTROPOLA

Herszel z Ostropola, słynny kpiarz żydowski żył u schyłku XVIII wieku na dworze rabbi Barucha z Międzybórz.

WIZYTA U KSIĘCIA.

Onego czasu książę, filut z ducha, takowy wysłał list do reb Barucha:

„Jeżeli słusznie świat cię mędrcem zowie, na cztery kwestie, rabbi, daj odpowiedź!

Oblicz dokładnie powierzchnię mych włosów i wartość moją określi jak najprościej.

Terlio, księżycu wagę podaj ściśle. Po czwarte raz mi oznajmij, co myślę?”

Stropił się cadyk, a starszyzna w radę. Wreszcie się Herszel ozwał: „Ja pojadam!”

Kolpak soboli wełnawszy na oczy, czwórka siwozów gwał, co koń wyskoczy.

Zaniósł się śmiechem pan karmazynowy, alści Herszel nie postradał głowy:

„Skoro mi miarę stawów swych zapodasz, z miejscem ci powiem, jakich ziem tyś włodarz.

Nad kwestią drugą też się nie wawaham: wart jesteś tyle, co ongiś Abraham.

Ten, choć dwóch ludów stał się prarodzicem,

Stare wątki

Rada radziła

Banku)... 2. zaciągnąć na rzecz Gminy Miejskiej Łódź w Pow. Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych w Warszawie pożyczkę w wysokości zł 150.000 na zakupienie „sprzętu pożarniczego.

Słowem „pożyczki na pożyczki”, czyli ówczesne łamańce finansowe. Debata nad tymi sprawami do godz. 11 wieczorem, po czym odcroczono posiedzenie do dnia następnego.

Nazajutrz obok walkowania powyższych pożyczek, dochodzi jeszcze inne wnioski „nagle”. Odrzucono wniosek frakcji radnych „Bundu” — proponujący przyłączenie się Rady Miejskiej do akcji protestacyjnej przeciw dokonaniu mordów na studentach żydowskich. Za wnioskiem tym stały również Klasowe Związki Zawodowe i część radnych PPS. Odpadł on po uznanu go za „nie wspólnego nie mający z gospodarką miejską”. Obozy reakcji uznały przyłączenie się Rady do akcji ogólnokrajowej „za bezcelność” (1).

W czasie omawiania sprawy nadania nazw parkom i skwerom miejskim — wywiązała się burzliwa „dyskusja”. W stenogramie protokołu czytamy: „... po wysłuchaniu radnego Karpika — głos zabrał radny Kręzel. Omawiając twórczość Andrzeja Struga — wyraził się on, że „Strug działał na szkodę Państwa Polskiego”. Radni z frakcji socjalistycznych, oburzeni wystąpieniem Kręzela, nie pozwalając mu na kontynuowanie przemówienia, wnosząc o-

krzyki i żądając odebrania mu głosu.

„Przewodniczący próbuje przywołać Kręzela do porządku i odbiera mu głos za użycie w przemówieniu zwrotów uwłaczających pamięci Struga, jako rewolucjonisty i bojownika o Polskę. W czasie powstałej przy tym wrzawie padają wzajemne obelgi, wyzywania od „łobuzów” itp. W czasie nowego przemówienia, broniącego Struga — radni z Obozu Nar. stałe przeszkadzają, walą krzesłami i stołami o podłogę, gwizdają, krzyczą, uniemożliwiają w ten sposób Radzie wysłuchanie przemówienia. Radnąc uszyścić przemówienie Purlala, radni z frakcji socjalistycznych, dosuwają swoje pulpity (fay) do mównicy i otaczają go wokół.

Wzawa na salę potęguje się. Radny Dembiński (z ON) zamierza znieważać przemawiającego. Powstaje scysja, która omal nie kończy się bójką.”

W godzinę później, przewodniczący Rady składa „oświadczenie”. „Na przestrzeni tyłu posiedzeń, mogąc moi wrogowie i przyjaciele zaświadczyć, że starałem się, w granicach możliwości, opanowania nerwów, zachować spokój i obiektywizm”. Przewodniczący apeluje do radnych, by: „obrazy nasze trzymały się w spokoju i powadze...”

Na koniec zabrał głos prezydent miasta komunikując, że w miesiącu lipcu posiedzeń Rady nie będzie i życzył radnym „przyjemnego wykorzystania tego rocznych urlopów...”

O tym, co było dalej w Łodzi, wlemy i pamiętamy wszyscy — pękające bomby w Śródmieściu Łódzi (na Bandurskiego) i na Zubardzu...